Nr. 35 CENA 30 GR. ROK 1

STER

TYGODNIK ŻYDOWSKI
DLA SPRAW POLITYKI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
Królewska 29A, tel. 301-62
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji i Administracji 11—14.

Rękopisów nie zwraca się.

Treść numeru:

APOLINARY HARTGLAS — Protekcje
L. HALPERN — Represje przeciw terrorowi
INŻ. A. GLIZER — Zabójstwo Andrews'a
LEONIDAS BRUTZKUS — Sprzymierzeńcy, których nie dostrzegamy
JERZY HALAMSKI — Wywiad z Gabrielem Cudenet
OUTSIDER — Dwóch nas być nie może...
DR. CHAIM LÖW — Demaskuję Irzykowskiego
WANDA KRAGEN — Człowiek z nieprawdziwego zdarzenia
J. BLEIBERG — Religia Einsteina, Bergsona i Freuda
MIECZYSŁAW BRAUN — Potop (poemat)
J. LESER — Premiery warszawskie
STER MŁODYCH

10 października 1937 WARSZAWA 5 cheszwan 5698

REPRESJE PRZECIW TERROROWI

Angielska władza mandatowa w Palestynie wkroczyła na drogę ostrych i zdecydowanych represji przeciw istotnym ośrodkom arabskiego ruchu terrorystycznego, będącego wieczną plagą tego kraju. Ohydne, skrytobójcze i bezmyślnie okrutne zabójstwo angielskiego gubernatora Galilei i, jak słychać, zuchwałe stanowisko nacjonalistycznych kół arabskich, przejawione po morderstwie, skłoniły nareszcie mandatowy rząd palestyński do wyciągnięcia jedynych, w podobnej sytuacji konsekwencji, których dotąd wyciągnąć nie chciano.

Zamiast toczenia sześciomiesięcznych wojen ze stosunkowo nielicznymi bandami terrorystów, przy jednoczesnym pertraktowaniu i układaniu się z rzeczywistym kierownictwem politycznym całej arabskiej akcji sabotażowo - terrorystycznej, sięgnięto nareszcie do źródła, wszelkich niepokojów, aktów gwałtu i anarchii w Palestynie. Mufti jerozolimski Hadż - Emin al Husseini został pozbawiony szeregu wysokich, wpływowych i intratnych stanowisk, które zajmował; t. zw. arabski naczelny komitet narodowy i podobne komitety na prowincji — zostały rozwiązane; nacjonalistycznych przywódców aresztowano i deportowano z kraju.

My nie jesteśmy entuzjastami stosowania represji, jako metody politycznej. Będąc demokratami, jesteśmy zwolennikami swobodnej gry sił w polityce i potępiamy wszelką przemoc fizyczną. Z tego samego punktu widzenia potępiamy zdecydowanie stosowanie terroru, widząc w nim najohydniejszy i najbardziej nieludzki środek zwalczania przeciwnika. Terror zaś ma to do siebie (terror arabski i nie tylko arabski — w Palestynie i nie tylko w Palestynie), że brak zdecydowanej kontrakcji w tejże płaszczyźnie przemocy fizycznej, rozruchwala go i podsyca i potęguje do większych rozmiarów. Jedynym środkiem przeciw terrorowi jest jego stłumienie — szybkie, ostre i zdecydowane. Im szybciej, wcześniej i radykalniej tłumi się ogniska terroru, tym w większym stopniu oszczędza się ofiary ludzkie, które w wypadku kunktatorstwa i pobłażliwości muszą w sposób nieunikniony padać po obu stronach.

Dlatego jeszcze na samym początku rozruchów arabskich w r. 1936 domagaliśmy się rozwiązania komitetów arabskich i uznania akcji sabotażowo - strajkowej za nielegalną. Żądaniu naszemu przed rokiem nie stało się zadość, a przypłacono to hetakombami ofiar żydowskich, arabskich i angielskich, 6 miesięcami krwawych rozruchów, koniecznością sprowadzenia z Anglii wielkich rezerw wojskowych i formalną wojną z bandami terrorystów. Dziś, kiedy na terenie palestyńskim sprawdziła się nasza stara przestroga, że zaczyna się stosować terror wobec Żydów, a kończy się na.... innych, dziś kiedy kule skrytobójcze arabskich terrorystów dosięgły już piersi wysokiego urzędnika administracji mandatowej — rząd palestyński zdecydował się nareszcie pomścić taktykę rozuchwalających przeciwnika pertraktacji oraz kunktatorstwa i przejść do zdecydowanych czynów.

Skutki nowej taktyki mandatariusza, jeśli taktyka ta będzie konsekwentnie utrzymana, nie przedstawiają wątpliwości. Sztuczny ruch terrorystyczny, pozbawiony kierownictwa i możnego poparcia, rychło zamrze. Paraliżowanie swobody ruchów jest jedyną bronią przeciw terrorowi i to bronią skuteczną. Trzeba ją tylko konsekwentnie stosować aż do chwili całkowitego wyplenienia źródeł tej barbarzyńskiej narośli na ciele nowoczesnego społeczeństwa.

Czy rząd mandatariusza zdecydowany jest chociaż obecnie nie powtarzać błędów dnia wczorajszego, czy i teraz po tym jedynym, odosobnionym kroku naprzód muszą nieodwołalnie nastąpić dwa kroki wstecz? Nasze dotychczasowe długoletnie doświadczenia z palestyńską administracją mandatową każą nam i tym razem być przygotowanymi na przysłowiową już zygzakowatość polityki angielskiej w Palestynie. Nie mniej jednak oczekujemy od rządu, że w obecnych przełomowych chwilach decydowania się losów Palestyny i jej nowego statutu politycznego potrafi stanąć na wysokości zadania. A zadaniem chwili jest spokój, spokój i spokój w Palestynie, jeśli nowe koncepcje rozwiązania jej zagadnienia mają być urzeczywistnione w sposób możliwie rozsądny, politycznie mądry i sprawiedliwy.

L. HALPERN

APOLINARY HARTGLAS

PROTEKCJE

Pewien mój znajomy, bardzo sympatyczny jegomość, bezinteresowny działacz społeczny, pojmujący swoją działalność, jako nieustanne interweniowanie u rozmaitych władz w sprawach osób, które się do niego zwracają o pomoc, opowiedział mi niedawno takie wydarzenie. Prosił go o interwencję w drobnej sprawie jeden z członków stowarzyszenia, na którego czele stoi ten mój znajomy. Chodziło o przyspieszenie wydania pewnego dokumentu, którego — zdaniem jego — nie mógł się on doczekać zbyt długo. Upatrywał on w tym jakąś umyślną szykanę. Znajomy mój zwrócił się do kierownika odnośnego urzędu, którego dobrze znał z licznych swoich interwencji. Kierownik ten przede wszystkim poinformował mojego znajomego, że jego protegowany zupełnie nie potrzebnie się tak niecierpliwi, bo załatwienie danej sprawy musi normalnie potrwać czas dłuższy, a następnie od ręki załatwił mu wydanie żądanego dokumentu; nie powstrzymał się jednak od rzucenia zgryźliwej uwagi: „dlaczego to, panie doktorze, wasi Żydzi w każdej, najbłahszej nawet sprawie muszą iść za pomocą protekcji, muszą upatrywać szykanę, a interesanci chrześcijanie sami sobie wszystko załatwiają?" Znajomy mój na to, dziękując za załatwienie, odparł krótko: „widocznie w tym coś jest, panie naczelniku".

Istotnie, musi w tym „coś być", — bo jednak jest to faktem, że Żyd częściej szuka protekcji, częściej prosi o interwencję, skarży się na szykany tam, gdzie nawet ich w rzeczywistości nie ma. Ale przecież nic się nie dzieje na świecie bez przyczyny. Przecież nie na całym świecie Żydzi są tak niecierpliwi, tak niepewni wyniku swoich starań. Przecież ani w dawnych Niemczech, ani dzisiaj w Anglii, Francji, Holandii, Belgii, Czechosłowacji i w ogóle na całym Zachodzie się nie słyszy o tym, żeby Żyd się specjalnie starał o protekcję, żeby uciekał się do innych metod, niż współobywatele innej narodowości lub innego wyznania. Owszem, są podobno kraje, gdzie się nic nie robi bez łapówki, — ale i tam nie ma różnic pomiędzy Żydami i nie-Żydami. I jedni i drudzy płacą łapówki, bakszysze, czy mancia — w zależności od nazwy w danym kraju przyjętej, — ale przyjmujący tę obyczajową choć nieobyczajną daninę urzędnik nie stosuje kryterium narodowościowego czy wyznaniowego, nie ma innej taksy dla Żyda, a innej dla nie-Żyda; liczy się jedynie z wartością żądanego świadczenia i z zamożnością interwenta.

Protekcja i interwencja, jako objaw specyficznie żydowski, nerwowość i niepewność — panują w tych tylko krajach, gdzie brak jest równości obywatelskiej. Nie chodzi przy tym o prawo pisane, o konstytucję, — chodzi o stosowanie prawa w życiu. W Rosji carskiej kwitło łapownictwo, ale taksa łapownicza dla Żydów była o wiele wyższą, niż dla pozostałych poddanych cara-batiuszki. Bo Żydzi byli pozbawieni wielu praw ustawowo, a praw ustawowo przyznanych nie chciano też w życiu codziennym w stosunku do nich honorować. W Rumunii istnieje równość obywatelska, ale w praktyce położenie Żydów od czasu Kongresu Berlińskiego uległo nie wielkiej tylko zmianie na lepsze i Żyd niemiecki też się bez protekcji, bez interwencji nie ruszy. O łapówkach nie mówię, bo to jest tam powszechna bolączka, bez różnicy płci, wieku, wyznania i narodowości.

I u nas, jeśli Żyd przy byle jakiej sprawie, przy najlegalniejszym zwróceniu się do władz szuka protekcji, interwencji, a czasami posuwa się nawet do usiłowania przekupstwa — to jest to jedynie smutny wynik systemu innego traktowania go, odmiennego, niż stosowane względem reszty obywateli. To wywołuje u niego nerwowość, uczucie niepewności, niewiarę w to, że jego najsłuszniejsze zresztą żądanie będzie w normalnej drodze, bez żadnych specjalnych starań, uwzględnione. Częstokroć ta wiara i ta obawa jest zupełnie niesłuszna i wyimaginowana, bowiem znaczna część urzędników i urzędów żadnych trudności specjalnych petentowi nie czyni, i nie interesuje się wcale tym, czy jest on Żydem czy nie. Ale nie można powiedzieć, żeby ta nerwowość i lękliwość były bezpodstawne. Mają one swoją głęboką podstawę w świadomości swej nierówności prawnej, swego obywatelskiego upośledzenia.

Oczywiście, konstytucyjnie Żydzi są obecnie, a zresztą już od 1923 roku u nas zupełnie równouprawnieni. Oczywiście, dawne carskie ograniczenia i habsburskie dekrety nadworne zostały już od 9 lat uchylone. Oczywiście, żadna z istniejących obecnie ustaw nie przeprowadza już rozróżnienia Żydów od nie-Żydów, a nieśmiałe próby administracyjnych poczynań w rodzaju zakazu używania języka czy pisma żydowskiego na prywatnych szyldach, prawdopodobnie w razie doprowadzenia sporów do Najwyższego Trybunału Administracyjnego zostaną uchylone dla braku podstaw prawnych. Ale to wszystko — to jest tylko prawo pisane.

A za prawem idzie praktyka. Idą rozmaite koncesje rządowe, samorządowe i monopolowe. Amatorów na nie jest zawsze więcej, niż tych koncesji, więc musi być współzawodnictwo przy ich otrzymaniu. I Żyd widzi, że albo ich wcale nie może otrzymać, albo też, że otrzymuje procentowo nieporównanie mniejszą ilość, niżliby wypadało ze stosunku ilości petentów żydowskich do petentów nieżydowskich. Żyd petent widzi, że ci nieżydowscy koncesjonariusze wcale prawie swoich koncesji nie wyzyskują, a ograniczają się tylko do wydzierżawiania ich odpalonym kandydatom żydowskim, t. zn. że system koncesji sprowadza się do podniesienia kandydatów—nie-Żydów do godności pośredników i do ułatwienia im uprawiania lichwy i wyzysku na skórze Żydów, a w ostatecznym wyniku na skórze ludności, która przecież dźwiga na sobie i koszty tego, zazwyczaj bardzo lichwiarskiego pośrednictwa. To samo daje się powiedzieć o dostawach rządowych i samorządowych, — i tu jest potrzebny bezczynny, lecz pobierający lichwiarskie wynagrodzenie za swoje nazwisko, a raczej za swoją metrykę firmant nie-Żyd. A ludność płaci.

Przenieśmy się do szkolnictwa, zwłaszcza do wyższych uczelni. Tu są... egzaminy wstępne z inteligencji. I tak się zdarza, że celujący maturzyści-Żydzi, częstokroć wybitnie zdolni późniejsi uczeni, czy publicyści, okazują się często mniej inteligentnymi od notorycznych nie-żydowskich tumanów. I nawet ślepy widzi, że w ten sposób tworzy się pewną ściśle ustaloną normę procentową.

A dawne historie podatkowe, gdzie z dwuch wspólników tego samego przedsiębiorstwa, w 50% każdego, szacowano do podatku Żyda kilkakrotnie wyżej niż Aryjczyka! To obecnie na ogół ustało. Natomiast trudno mówić o jednakowym traktowaniu Żydów i nie-Żydów przy staraniu się o aplikację sądową, przy załatwianiu spraw rolnych, rozmaitych procedurach rolno-uwłaszczających. A o poradach rządowych i samorządowych nawet się już nie mówi. Od 1932 roku do 1937-go liczba stanowisk urzędniczych w Polsce wzrosła ze 103000 do 111000, ale liczba urzędników-Żydów skurczyła się w absolutnych cyfrach nieomal do zera. Żydzi już nawet ofert nie składają.

Czy więc w podobnej sytuacji Żyd może nie zdawać sobie sprawy z tego, że jest traktowanym gorzej, że jest upośledzonym. A na tle tego musi się rozwijać psychoza niewiary i nienawiści i musi się szukać rozmaitych dróg i sposobów, by jednak uzyskać to, co się zresztą według prawa należy. Rozwija się nerwowość, a z nią przesada, wyimaginowany strach i wreszcie po prostu nadużywanie drogi protekcji i interwencji.

Ale — co gorsze — w tej atmosferze zaczyna się rozwijać zjawisko protekcji i interwencji płatnej, zawodowej, zaczyna się rozwijać przekupstwo i korupcja. Zasmakowawszy zaś raz w przekupstwie, gdy chodzi o Żyda, zaczyna się już rozciągać ten sam system i na nie-Żydów. I w końcu w tej atmosferze lęgną się takie afery, jak Parylewiczowej, eufemistycznie dla lepszego zamydlania oczu, zwanej obecnie sprawą Fleischerowej. Gdyby nie było nierówności obywatelskiej — nie byłoby ani Fleischerowej ani Parylewiczowej. Zło zasiane w stosunku do Żydów, zatruwa swymi miazmatami samych siewców.

Więc niech ów naczelnik, który zwrócił uwagę mojemu znajomemu się nie dziwi. Niech się rozejrzy uważniej dokoła, a zrozumie rychło, dlaczego Żydzi tak chętnie uciekają się do interwencji i do protekcji. A wtedy — chociaż może sam osobiście zupełnie czysty — uderzy się w piersi i powie: „mea culpa".

Inż. A. Glizer

Zabójstwo Andrews'a

(Korespondencja własna „Steru" z Palestyny)

Mojżesz Bejlinson, zmarły przed niespełna rokiem znakomity publicysta palestyński, scharakteryzował raz tak stanowisko rządu wobec rozruchów: „jeśli Arabowie nie obsadzili na początku rozruchów pałacu Wysokiego Komisarza, ma to rząd do zawdzięczenia tylko temu, że myśl taka nie powstała im w głowie". Ale gdyby powstała dokonaliby tego bez trudności. Mimo woli przypominają się te słowa w związku z zabójstwem Ludwika Andrews'a, gubernatora Galilei. Nie było tajemnicą, że Andrews nie cieszy się sympatią terorystów arabskich. Było to nawet wiadome, że figurował pierwszy na ich czarnej liście. Pomimo to potrafili oni zamordować go wraz z towarzyszącym mu policjantem w Nazarecie w chwili, gdy zamierzał wejść do kościoła anglikańskiego na niedzielne nabożeństwo wieczorne, i wszelki ślad po nich zaginął. Zamordowano bez przeszkód jednego z najwyższych urzędników administracji brytyjskiej. Cóż może podważyć bardziej autorytet rządu i podnieść bardziej autorytet terorystów? Nie na próżno mord Andwers'a objął strachem każdego spokojnego Araba w kraju. Gdzie kres władzy terorystów, jeśli taką rzecz tak łatwo i gładko można było wykonać?

Andwers nie darmo figurował na czarnej liście. Był on przeciwieństwem tego typu urzędnika angielskiego, który „Arabowie" (t. zn. politycy i wodzireje) lubią i który ich lubi. Typ urzędnika kolonialnego, który chce spokojnego i łatwego życia po rutyną uświęconych drogach, jest naturalnym sprzymierzeńcem Arabów. Trudności i komplikacje, które syjonizm wprowadza, są mu balastem, którego by się chętnie pozbył. Andrews był zupełnie innego pokroju. Urodzony w Australii przed 41 laty, przybył do Palestyny z australijskimi oddziałami armii Allenby'ego i został w tym kraju, do którego miał głęboki stosunek, zrodzony z anglikańskiego biblijnego wychowania. Andrews nie raz mawiał, że geografię Palestyny znał znakomicie, jeszcze zanim do niej zawitał. Służbę rządową rozpoczął jako urzędnik administracyjny w tymże okręgu, w którym padł teraz jako gubernator. Nauczył się szybko arabskiego i hebrajskiego. Interesował się gruntownie warunkami życia ludności i poznał bardzo dokładnie cały kraj. Rząd zorientował się bowiem szybko w jego zdolnościach i sumienności i zaczął przenosić go z miejsca na miejsce i z urzędu na urząd. Gdzie tylko trzeba było zatkać jakąś dziurę w aparacie rządowym, posyłano Andrews'a. Skomplikowane i trudne zadania zrzucano najchętniej na niego.

Przewędrował on w ten sposób wszystkie okręgi Palestyny. Po roku 1929, po sprawozdaniach Shaw'a, Simpson'a i Fernch'a, zamianowany został dyrektorem departamentu rozwoju. Głównym jego zadaniem było skolonizowanie Arabów, którzy zostali rzekomo masowo wyparci z roli przez Żydów. Skolonizował on tych, którzy mieli do tego prawo, ale ujawnił zarazem całą bezpodstawność teorii o „wypieraniu". Zeznanie jego przed Komisją Królewską zlikwidowało ostatecznie tę historię, która była swego czasu najcięższą kolubryną przeciw Żydom. Andrews załatwiał zatarg o grunty Wadi Hawarit (obecnego Emek Chefer) o którym tyle było swego czasu niepokoju i zamieszania. Andrews zorganizował znakomicie funkcjonujący rządowy departament kooperacji. Wauchope cenił go specjalnie wysoko i zamianował go wraz z drugim swym zaufanym młodym urzędnikiem, dyrektorem nawadniania Harris'em — przedstawicielem rządu przy Komisji Królewskiej. Gdy Galilea, względnie spokojna w czasie rozruchów 1936 roku, stała się przed kilku miesiącami ośrodkiem najbardziej wzmożonej działalności terorystów arabskich i gdy rząd zdecydował się położyć temu kres, posłał tam Wauchope Andrews'a. Andrews dokonał w krótkim czasie czegoś, z czym rząd centralny od półtora roku sobie poradzić nie może: uspokoił bardzo szybko swój okręg. Pisałem już swego czasu obszernie o tym, jak sprawność i energia Andrews'a przywróciły bezpieczeństwo Galilei. Nie stosował on przy tym żadnych szczególnie drastycznych środków. Wystarczyło ,że władza była w ręku człowieka, który wiedział czego chce i porzucił system ciągłych wahań, tak na ogół stosowany przez rząd Palestyny.

Andrews złamał władzę terorystów w Galilei. Ale rząd w Jerozolimie nie złamał władzy terorystów w całym kraju. A oto teraz dokonali oni tego, czego Andrews sam się spodziewał: usunęli go z drogi. Czy skłoni *ta* ofiara rząd do zdecydowanej akcji? Bardzo wątpliwe.

Żałują Andrews'a fellachowie, których losem tak żywo się interesował. Żałują go spokojni Arabowie. Żałują Andrews'a, jak najbliższego przyjaciela, koloniści żydowscy z Emeku i Galilei. Żałują go Żydzi. Ale jest jeszcze ktoś, kto wyraża ubolewanie: Arabski Komitet Naczelny. Na kpiny zakrawa to ubolewanie muftiego (pod którym wolał on zresztą się nie podpisać): jak gdyby był ktoś skłonny uwierzyć, że było to dlań niespodzienką. Tym nie mniej pośpiesznie to ubolewanie rozgłaszano, a w Jerozolimie nie dokonano ani jednego aresztowania, choć mało kto wątpi, że tam koncentrują się nici teroru.

Rząd zastosował swoistą taktykę: dokonał licznych aresztowań wśród działaczy terorystycznych. Zdecydował się na sięgnięcie do najwybitniejszych „osobistości" prowincjonalnych i uwięził głównych agentów muftiego jerozolimskiego w różnych miejscowościach, przywódców jego rzekomo religijnej, w istocie politycznej i terorystycznej organizacji reakcyjnej „Czyń i nie czyń". Znaleźli się w więzieniu w ten sposób horribile dictu kadi (sędzia religijny) z Tul-Karem i mufti z Dżenin. Ale aresztowania ograniczyły się tylko do północnej Palestyny, tak jakgdyby południowa była wolna od terorystów lub była odgraniczona jakimś chińskim murem od północnej. A przede wszystkim nie dotknęły nikogo z centrum.

Na znak dany przez muftiego posypał się deszcz protestów przeciwko aresztowaniom, zwłaszcza osób duchownych, co „bardzo źle wpłynąć może na sytuację w kraju". Prasa arabska namawia rząd, aby brał przykład z zeszłorocznej swej polityki, zwłaszcza że „wyraziliśmy przecież nasze ubolewanie". Czyż trzeba wielkiej przenikliwości, aby przepowiedzieć, że w tych warunkach najprawdopodobniej zapał rządu szybko ostygnie i wszystko będzie po staremu?

Na cmentarzu angielskim w Jerozolimie pochowano dzielnego Australijczyka, syna najmłodszego kontynentu, który poświęcił swe życie odradzającej się starej Ziemi Świętej. A w tej samej chwili siedział ktoś inny w tejże Jerozolimie pod ochroną świętości meczetu i — śmiał się zapewne w kułak.

Tel-Aviv. 1.10.37.

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Państwo żydowskie przed areopagiem Ligi Narodów i sądem antysemitów

Sprawa restytuowania Państwa Żydowskiego na części terytorium Palestyny — posuwa się raźno naprzód. Organy Ligi Narodów wypowiedziały się w zasadzie pozytywnie wobec koncepcji angielskiej, pozostawiając tylko otwartą sprawę szczegółów jej realizacji. Na Radzie, Zromadzeniu i w komisjach Ligi Narodów usłyszeliśmy dużo słów sympatii i poparcia dla naszych aspiracyj syjonistycznych Zwłaszcza państwa środkowo i wschodnio - europejskie, mające u siebie kwestię żydowską, szczególnie zdecydowanie zaangażowały się w popieraniu naszej akcji politycznej, której przyświeca osiągnięcie, jak najszerszych granic przyszłego państwa, co za tym idzie: jak największych możliwości imigracyjnych. Stara prawda herzlowska, że kwestia żydowska jest sprawą międzynarodową, i że w syjonistycznym rozwiązaniu tejże zainteresowane są, obok Żydów, narody, wśród których Żydzi przebywają w diasporze, potwierdza się obecnie w całej pełni.

Prawda ta znalazła szczególnie zdecydowany i otwarty wyraz w przemówieniu genewskim p. ministra *Becka*, który oświadczył m. i.:

> *„Szczególne zainteresowanie rządu polskiego tym zagadnieniem wynika z faktu, że zarówno ludność żydowska, osiedlona już w Palestynie, pochodzi w bardzo znacznym procencie z Polski, jak też i z tego, że problemat emigracji, którego część stanowi sprawa emigracji żydowskiej, jak miałem to sposobność stwierdzić na zeszłorocznym zgromadzeniu, jest przedmiotem szczególnej troski mego rządu. Rząd polski rozpatruje to zagadnienie oczywiście nie jako zagadnienie Bliskiego Wschodu, lecz jako zespół zagadnień socjalnych i ekonomicznych, interesujących zarówno Polskę, jak i wiele krajów sąsiednich.*
>
> *Ponieważ jednak ludność żydowska ze względów tradycyjnych i uczuciowych wykazuje dla emigracji do Palestyny szczególne zainteresowanie, muszę tę sprawę traktować ze specjalną uwagą. Nie jest równie pozbawiony znaczenia fakt, że techniczna strona emigracji do Palestyny opiera się już na długoletnich doświadczeniach istniejących oraz działających sprawnie organizacjach.“*

A dalej:

> *„Z mej strony zmuszony jestem raz jeszcze podkreślić, że zdolność absorbcyjna tak czy inaczej zorganizowanej Palestyny będzie główną troską rządu polskiego. Przypuszczam również, że w interesie wszystkich zainteresowanych leży, aby czas, potrzebny do opracowania nowych projektów, nie był zbyt długi, gdyż atmosfera niepewności, panująca wśród ludności żydowskiej, utrudnia racjonalną politykę wobec problematu emigracji żydowskiej.“*

A więc p. minister *Beck* otwarcie deklaruje, że „główną troską rządu polskiego będzie zdolność absorbcyjna tak czy inaczej zorganizowanej Palestyny“, w konsekwencji zaś stworzenie jak największych możliwości emigracyjnych dla Żydów polskich. Jak wynika z oświadczeń Prezydenta *Weizmanna* na XX Kongresie Syjonistycznym, po proklamowaniu Państwa Żydowskiego możliwa będzie w ciągu 20 lat imigracja 100,000 Żydów rocznie. Można się więc spodziewać, że w takich warunkach około 50,000 Żydów polskich otrzyma co rocznie możność emigrowania do Palestyny. Oznacza to, że w ciągu dziesięciolecia wyemigruje z Polski jakie pół miliona Żydów, ale liczebność absolutna Żydów w Polsce nie zmniejszy się o taką cyfrę, albowiem w międzyczasie dojdzie przyrost naturalny.

Słowem: emigracja do Palestyny w dużej mierze ulży położeniu ludności żydowskiej w Polsce, stworzy niewątpliwie odprężenie psychiczne zarówno wśród nas, jak i na odcinku stosunków polsko-żydowskich, ale oczywiście, nie będzie środkiem do jakiegoś fantastycznego całkowitego „pozbycia“ się 3,5 milionów Żydów — obywateli Państwa Polskiego. Kto tego się spodziewa, lub to obiecuje — jest albo naiwnym ignorantem politycznym, albo szkodliwym szarlatanem.

Nie chcą tylko i nie mogą tych prostych i od nikogo nie zależnych rzeczy zrozumieć antysemici polscy, nawet najbardziej światli i kulturalni. Dlatego, tonąc w morzu nieuniknionych rozczarowań, chwytają się brzytwy... rewizjonistyczno-terytorialistycznych iluzji „ewakuacyjnych“.

Pan *B. K.* z *„Kuriera Warszawskiego“* powinien być zadowolony z obrad genewskich i, istotnie, reasumuje ich pozytywny bilans:

> *„kwestia żydowska nie może być w pełni rozwiązana inaczej, niż na drodze inicjatyw, planów i ofiar międzynarodowych. P. minister spraw zagranicznych, Beck, apelował do „głębokiego przestudiowania wszystkich czynników, które posiadają znaczenie dla rozwiązania tego problematu“. Stały delegat polski przy L. N., p. minister Komarnicki, gruntownie tłumaczył konieczność emigracji żydowskiej z Polski, a właściwie mówiąc: ze wszystkich wogóle krajów, gdzie istnieje nadmiar ludności żydowskiej. Jeszcze raz tedy rząd polski wysuwa całość kwestii żydowskiej na forum rozmyślań i narad międzypaństwowych.*
>
> *Rozumie się, że orędownicy programu emigracji muszą być przede wszystkim zwolennikami utworzenia niezależnego państwa żydowskiego, tam, oczywiście, gdzie istnieją po temu dostateczne prawa historyczne i silnie już obudzone sentymenty narodowe. To też p. Beck oświadczył, że główną troską rządu polskiego jest zdolność „absorbcyjna“ „tak czy inaczej“ zorganizowanej Palestyny. Inaczej mówiąc: żydowskie państwo palestyńskie powinno być terytorialnie jaknajwiększe i najlepiej nadające się do imigracji żydowskiej. W kilka dni później p. Komarnicki w cytowanym powyżej przemówieniu znowu zaznaczył, że Palestyna musi być siedzibą dla mas żydowskich, a nie dla garstki wybranych. Wynika stąd, że Polacy będą popierali maximum żądań syjonistycznych, dotyczących państwa palestyńskiego.“*

Zdawałoby się więc, że wszystko w najlepszym porządku? Okazuje się, że nie, bo p. B. K. ma nieoczekiwaną pretensję do żydowskich przywódców:

> *„Nie orientując się w historycznej wartości inicjatywy polskiej w Genewie, przywódcy żydowscy złożyliby dowód, że, przestraszeni widokiem surowej rzeczywistości, umieją tylko chować głowy w piasek.“*

Jest to oczywiste nieporozumienie. Nasi uznani przywódcy nie tylko „orientują“ się w wartości inicjatywy polskiej (jak zresztą szeregu innych państw, które w Genewie zajęły pro-syjonistyczne stanowisko), ale„inicjatywy“ te przyszły w dużej mierze w rezultacie akcji dyplomatycznej przywódców syjonistycznych (n. p. rozmowa *Beck—Weizmann)*. Stojąc jednak twardo na gruncie realnych możliwości i odpowiadając za ich urzeczywistnienie, nasi odpowiedzialni przywódcy nie mogą i nie chcą nikogo wprowadzać w błąd łudzeniem iluzorycznych nadziei całkowitej „ewakuacji“ czy też znalezienia jakiegoś wyimaginowanego nowego terytorium emigracyjnego, choćby nawet tu i ówdzie znaleźli się światli zresztą antysemici, proszący się na gwałt o obdarzenie ich... miłymi iluzjami.

Tu źródło okrzyku, który co raz częściej wyrywa się z ust p. *B. K.*: „powitalibyśmy z przyjemnością zwycięstwo programu Żabotyńskiego, uzupełnionego przez t. zw. terytorialistów“. My w ogóle nic nie wiemy o istnieniu jakiegoś programu p. *Żabotyńskiego* albo p. p. terytorialistów (łudzenie kogoś fantastycznymi cyframi „ewakuacyjnymi“ i jakimiś „planami“ pięcio- czy dziesięcioletnimi bez podania sposobu ich urzeczywistniania, czy też kilkudziesięcioletnie bezowocne szukanie „terytorium“ nie nazywa się w polityce „programem“ ale trochę inaczej). Nie boimy się więc ich „zwycięstwa“, mimo życzeń p. *B. K.* Smuci nas tylko okoliczność, że najświatlejsi nawet publicyści i politycy polscy tracą miarę rzeczywistości, gdy przechodzą na grunt spraw żydowskich. Jest to czynnik, który nie w ostatniej mierze utrudnia i odwleka poprawę i normalizację stosunków polsko-żydowskich.

Pischinger

wafle

czekolady

Żydzi na wyższych uczelniach

Listy nowoprzyjętych studentów zostały już ogłoszone we wszystkich wyższych uczelniach stołecznych. Proporcja narodowościowa nowego rocznika młodzieży akademickiej, skrupulatnie notowanej przez polską prasę „narodową“ winna być dzwonem na alarm dla społeczeństwa żydowskiego i jego kształcącej się młodzieży. Na wszystkich niemal wydziałach widać wyraźne obniżenie się odsetka studiujących Żydów, który miejscami spada do paradoksalnie minimalnych poziomów. Tak np. na wydziale prawnym, gdzie za dawnych lat koncentrowała się licznie żydowska młodzież studiująca, obecnie na 350 nowych studentów przyjęto aż... 11 Żydów, t. j. 3%. Na medycynę (gdzie tradycyjnie istnieje faktyczny „numerus clausus“) na 100 studentów otrzymało przyjęcie — 7 Żydów. Na dentystyce (dawniej był to w Polsce zawód prawie wyłącznie żydowski) przyjęto 13 Żydów na 92 nowych studentów. Rekord wszakże pobiła w tym roku Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, gdzie na 234 nowych słuchaczy przyjęto ...4 Żydów, t. j. koło 1,5%.

Jakie są przyczyny tego jaskrawie zarysowanego zjawiska, które w modnej dziś terminologii politycznej nosi miano „odżydzenia wyższych uczelni“? Młodzież „narodowa“ rozmaitego autoramentu odpowie z dumą, że to jej zasługa, że to rezultat umiejętnego obchodzenia się z żyletkami i ręcznego wywijania pałkami, że to skutek blokad, „przesadzań“ na lewo stronę, dzikich masakr i permanentnego terroru antyżydowskiego. Z przykrością musimy tej „kochanej młodzieży“ zwrócić uwagę, że niestety (dla nas: niestety!) *nie to* było głównym czynnikiem, który zadecydował o tym brutalnym podcięciu skrzydeł młodzieży żydowskiej, rwącej się do wiedzy. Mówimy: *niestety*, albowiem my, Żydzi jesteśmy już tak zahartowani na terror i prześladowania, że dalibyśmy sobie radę, gdybyśmy tylko z terrorem mieli do czynienia.

Niestety inne, znacznie ważniejsze i bardziej wpływowe czynniki i okoliczności zadecydowały o odepchnięciu czy odwróceniu się młodzieży żydowskiej od źródeł wiedzy. Wpłynął na to całokształt polityki, prowadzonej wobec żydowskiej mniejszości narodowej, której wyrazem jest stosowanie *faktycznych* ograniczeń, tam gdzie *formalnie* nie śmią być stosowane żadne ograniczenia narodowościowe czy wyznaniowe. Dostęp do stanowisk państwowych i samorządowych jest dla żydowskiego inteligenta zawodowego zamknięty na siedem spustów, ostatnio zaś w sztuczny sposób zamyka się przed żydowskimi absolwentami wyższych uczelni także dostęp do zawodów wyzwolonych. W rezultacie młodzież żydowska, która opuszcza mury szkół średnich, coraz wyraźniej zdaje sobie sprawę z beznadziejności dalszych studiów na tle realnej sytuacji mniejszości żydowskiej w państwie.

Dla społeczeństwa żydowskiego jest to zjawisko groźne: tracimy naszą przyszłą inteligencję zawodową, tracimy naszych przyszłych adwokatów, lekarzy i inżynierów żydowskich! Społeczeństwo żydowskie zdaje sobie dobrze sprawę z istotnych przyczyn tego katastrofalnego zjawiska, które istnieć będzie tak długo, póki sprawa żydowska w Polsce nie zostanie rozwiązana w duchu *faktycznego* równouprawnienia obywatelskiego i sprawiedliwości narodowościowej.

Także wprowadzenie „ghetta ławkowego“ na wyższych uczelniach nie jest *niestety* zasługą samej tylko „kochanej młodzieży“. I tu przechyliły szalę czynniki ważniejsze i znacznie wpływowsze. Jeszcze przed tygodniem prawicowo-„sanacyjne“ pismo prowincjonalne zapewniało z całą stanowczością, że „ghetto“ na wyższych uczelniach jest w tym roku sprawą przesądzoną. Wydarzenia ostatnich dni potwierdzają tę wiadomość w całej pełni.

Młodo-endecy, oenerowcy i młodzi ozonowcy zostali w tym roku wyręczeni w „ideowej“ pracy przesadzania gwałtem akademików - Żydów. Oto rektorzy Politechniki Warszawskiej i S. G. G. W. zarządzili wywieszenie nad ławkami tablic z literami „A“ i „B“, albo z napisami: „Bratnia Pomoc“ i „Wzajemna Pomoc“, grożąc rygorami tym studentom, którzy nie zastosują się do dziwacznych granic etnograficznych w salach wykładowych uczelni cywilizowanego kraju w XX stuleciu.

I tym razem żydowska młodzież akademicka wraz z całym społeczeństwem żydowskim nie spocznie w walce przeciw średniowiecznym zarządzeniom, pozbawionym oparcia w obowiązującym prawie i godzącym w nasze obywatelskie stanowisko.

Kryminalna powieść Tel-Awiwu

Wypadek Nr. 1: Arab został zastrzelony z rewolweru na jednej z pogranicznych ulic w północnej części Tel-Awiwu. Przed śmiercią zdążył zeznać, że mordercą był jakiś młody człowiek, który uciekł na rowerze. Było to w okresie ostatniej fali teroru w Palestynie i wydawało się prawdopodobne przypuszczenie, że mord tego Araba, zdążającego z pobliskiej wsi do lekarza w mieście żydowskim, miał być „odpowiedzią“ na zamordowanie pasażera autobusu żydowskiego, który wracał od chorej żony z Jerozolimy do Tel-Awiwu. Podejrzenia policji skierowały się w stronę krańcowych kół rewizjonistów, tych samych, których istnienie ujawnione zostało przed kilku laty w toku śledztwa po zabójstwie Arlozorowa. W końcu doszła policja do wniosku, że prawdopodobnym mordercą był niejaki Frenkiel, znany na ogół jako Ben-Amram, pod którym to nazwiskiem między innymi publikował wiersze w rozmaitych czasopismach rewizjonistycznych. Nie można go było żadną miarą znaleźć i zapanowało przekonanie, że udało mu się uciec za granicę. Rewizja, przeprowadzona w domu jego matki, wykryła rewolwer, w związku z czym pani Frenkiel została aresztowana.

Wypadek nr. 2: z rzeki Jarkon, wpadającej do morza na północnym krańcu Tel-Awiwu, wyłowiono trupa Żyda. Topielec miał skrępowane ręce i nogi, a do ciała uwiązany był ciężki kamień. Sekcja wykazała, że przed utopieniem uduszono go. Pierwsze przypuszczenie mówiło, że może to być akt krwawej zemsty rodowej ze strony rodziny owego zamordowanego Araba. Ale pewne szczegóły nasuwały przypuszczenie, że sprawców należy być może szukać w innym kierunku, że może to być jakieś nowe wydanie głośnego swego czasu mordu inż Cwangera, dokonanego najwidoczniej w związku z działalnością szpiegowską jednego z państw obcych. Szukano zresztą w najróżniejszych kierunkach. W każdym razie najpilniejszym zadaniem było ustalenie tożsamości ofiary. Bardzo dużo osób oglądało trupa, ale nikt go nie rozpoznał z wyjątkiem jednej osoby, amatora wędkarstwa, który poznał w topielcu człowieka, z którym spotykał się kilkakrotnie nad Jarkonem i łowił z nim razem ryby. Ale i on nie znał nazwiska swego przygodnego towarzysza. Policja liczyła na to, że uda jej się stwierdzić nazwisko ofiary na podstawie koszuli topielca, na której widniał numer z pralni. Po żmudnych poszukiwaniach w różnych pralniach udało się odnaleźć właściwą. Okazało się, że właścicielem bielizny, oznaczonej tym numerem, jest niejaki Stessel, ale tego znaleziono w dobrym zdrowiu. Co się zaś tyczy koszuli, opowiedział on, że została mu ona kilka miesięcy temu ukradziona wraz z inną bielizną, która suszyła się na dachu. O owej kradzieży, zameldował on w istocie swego czasu policji. Nie pozostawało nic innego, jak przypuścić, że topielec był złodziejem.

Wypadek Nr. 3: na jednej z ulic Tel-Awiwu dokonano napadu rabunkowego, jakiego miasto to nigdy jeszcze nie widziało, i zabrano woźnemu Banku Robotniczego pokaźną sumę 5.400 funtów. „Gangsterzy“ mieli pecha: policja zdołała ująć natychmiast przy pomocy publiczności wszystkich 3 rabusiów wraz z autem ich, w którym znaleziono rewolwer. Auto miało fałszywy numer. Udało się znaleźć jego właściciela. Okazało się, że samochód został nabyty parę dni wcześniej przez dwuch panów, których aresztowano wraz z pośrednikiem. Wszyscy aresztowani okazali się rewizjonistami krańcowego autoramentu z tej samej grupy, której przypisać należy mord Araba, który nazwaliśmy wypadkiem Nr. 1. Grupa ta tytułowała się ostatnio: „Związek obrony czci Izraela“. Przypomniano sobie w związku z tym listy z pogróżkami i żądaniem większych sum, które „związek“ ten nie dawno rozesłał do różnych osób w Tel - Avivie. Jeden z aresztowanych („pośrednik“ w kupnia auta) był swego czasu prawą ręką Achimeira, wodza rewizjonistycznych „radykałów“, jeden z „gangsterów“ zaś był zamieszany w sprawę o zabójstwo Arlozorowa i wraz z Achimeierem skazany za utworzenie nielegalnej grupy.

Wypadek Nr. 3 rzucił w ten sposób światło na sposoby, jakimi „obrońcy godności Izraela“ zamierzają aprowidować się. Wypadek Nr. 3 pokazał odwrotną stronę medalu, którego pierwszą stroną był wypadek Nr. 1. Aż tu nagle i wypadek Nr. 2 się wplątał. Otóż topielec oprócz koszuli z numerem miał jeszcze zegarek niklowy. Policja zwróciła się do wszystkich zegarmistrzów, którym zdarzyło się ostatnio reperować niklowe zegarki, z prośbą o rozpoznanie zegarka zamordowanego. Jeden z zegarmistrzów stwierdził, że nie reperował go ostatnio ,ale za to poznał, że miał go w naprawie przed 2 laty. Okazało się z rejestru, prowadzonego przez tego zegarmistrza, że zegarek należy do — Frenkla vel Ban-Amrama, tego samego, o którym mówiliśmy w związku z wypadkiem Nr. 1. Cały szereg szczegółów potwierdza, że topielcem jest Ben-Amram. Okazuje się np., że uprawiał on wędkarstwo. Odciski palców trupa odpowiadają odciskom znalezionym na szklance w domu jego matki. Matka nie mogła z fotografii rozpoznać twarzy z powodu daleko posuniętego rozkładu, ale rozpoznała buty i spodnie itd. Zwolniono ją, nawiasem mówiąc, obecnie z więzienia.

Należy przypuszczać, że Ben-Amram po zamordowaniu owego Araba ukrywał się u Stressla, od którego pożyczył koszulę. (Stressel został obecnie aresztowany). Na wieść o uwięzieniu matki postanowił zgłosić się dobrowolnie do policji. Okazuje się obecnie, że radził się on w tej sprawie pewnego adwokata telawiwskiego. Koledzy postanowili wówczas widocznie pozbyć się go. I dokonali tego.

Tak oto zazębiły się wszystkie trzy „sensacje“ tel-awiwskie ostatnich tygodni. Dalibóg, materiał dla autora powieści detektywistycznych. Czy aby na wypadkach Nr. 1, Nr. 2 i Nr. 3 koniec? Nie można widocznie naśladować metod walki muftiego bez wyciągania wszystkich konsekwencyj? Za mordem przypadkowego przechodnia przeciwnej narodowości idzie wymuszanie i rabunek pieniędzy oraz zabójstwo „zdrajcy“. Jeszcze tylko krwawy teror wobec przeciwników politycznych, a mielibyśmy kompletnie wszystko, czym się „cieszą“ nasi sąsiedzi. Heca, którą rozpętano ostatnio przeciw kierownikowi departamentu politycznego Agencji Żydowskiej, Szertokowi, za jego wystąpienie przeciw napadom na Arabów, nie miała sobie równej od wielu lat, a co najmniej od czasu kampanii przeciw Arlozorowowi tuż przed jego śmiercią.

Dobrze się stało, że tel-awiwscy gangsterzy tak od razu za pierwszym razem wpadli i że wszystkie trzy opisane wypadki i ich wzajemny związek tak względnie prędko wypłynęły w całej swej okazałości. Może otworzy to oczy tym, którzy w „zemście“ na przypadkowych Arabach gotowi byli jeszcze widzieć Bóg wie jaki czyn bohaterski, dokonany przez garstkę „patriotów“ na przekór „zdrajcom“. Oto konsekwencje.

A. G.

LEONIDAS BRUTZKUS (Tel-Awiw)

Sprzymierzeńcy, których nie dostrzegamy

Jest starą nadzieją polityków syjonistycznych zdobyć przychylne dla Żydów albo przynajmniej neutralne stanowisko chrześcijan palestyńskich. Spodziewano się, że tysiącletni antagonizm pomiędzy chrześcijaństwem a islamem uniemożliwi wszelką próbę jednolitego frontu. Nadzieje te nie spełniły się. W obliczu „wielkiego niebezpieczeństwa syjonistycznego" powstał jednolity front chrześcijańsko - muzułmański.

Chrześcijanie palestyńscy stanowią niezwykle różnorodny element. Resztki tubylczych chrześcijan jeszcze z czasów Bizancjum i wypraw krzyżowych, Maranici z Libanon oraz liczni prozelici — oto są chrześcijanie arabscy. Obok nich mamy chrześcijan europejskich i duże lewantyńskie chrześcijańskie mniejszości niearabskie: Greków i Armeńczyków.

Nic nie jest wiadome o oficjalnym stanowisku Gregów i Armeńczyków wobec konfliktów narodowościowych w Palestynie. Ani patriarcha grecki, ani katholikos armeński, ani wreszcie inni reprezentanci tych gmin, nigdy nie zajęli stanowiska w tych sprawach. Czyż można więc mówić o neutralności tych mniejszości? Jeśli jednak ocenimy rzeczywiste zachowanie się tych obu grup, w czasie ostatnich rozruchów, dojdziemy do wniosku, że jest to neutralność przychylna dla Arabów. To ciążenie ku Arabom jest nieco słabsze u Armeńczyków, ale zupełnie wyraźne u Greków. Powszechnie wiadomo, że terroryści arabscy posługiwali się greckimi klasztorami i t. p. Ale także Armeńczycy połowicznie albo całkowicie uczestniczyli w strajku, składali ofiary pieniężne na rzecz Arabów i całym swym zachowaniem zdradzali sympatie dla tych ostatnich, a nie dla Żydów.

Takie zachowanie się tych mniejszości wydaje się dziwne i zgoła niezrozumiałe. Weźmy na przykład Armeńczyków: naród, jak żaden inny na świecie, podobny swym charakterem i losem do Żydów. Rozproszony po Rosji, Kaukazie i całym Bliskim Wschodzie, o licznej diasporze we Francji, Ameryce Płn. i Płd., posiadający centrum narodowe, w którym przebywać może tylko drobna część jego przynależnych — naród ten stoi w obliczu tych samych zagadnień, co Żydzi: walka o zachowanie odrębności narodowej, asymilacja, starcia z obcym i po większej części, wrogim otoczeniem. Także ich oblicze socjalne i duchowe posiada dużo rysów podobieństwa z Żydami. Armeńczycy przeżyli też w sposób podobny do Żydów — nie! jeszcze w okrutniejszy prześladowania na tle takiej sytuacji obcej mniejszości. Tragedia narodu armeńskiego jest jednym z najstraszliwszych rozdziałów nowoczesnej historii. *Franz Werfel*, pisarz żydowskiego pochodzenia, stworzył wstrząsający epos cierpień i zmagań Armeńczyków...

A właśnie otoczenie muzułmańskie siało mord i zniszczenie wśród narodu armeńskiego, czy to w postaci zorganizowanej akcji państwa ottomańskiego, czy też w formie spontanicznych pogromów ze strony ludności tureckiej, kurdyjskiej i arabskiej. Tak jest, także Arabowie urządzali pogromy i masakry Armeńczyków. Nie na próżno dzielnica armeńska Starego Miasta Jerozolimy jest otoczona wysokim i mocnym murem, przez który prowadzi tylko jedno wąskie przejście. A wiemy, jak niebezpieczną była sytuacja 100.000 armeńczyków, którzy w wojnie znaleźli azyl w Syrii francuskiej i Libanonie. Jeśli francuskie garnizony ustąpią ostatecznie, wtedy spodziewać się można ciężkich dni dla syryjskich Armeńczyków. Nie jest też przypadkiem, że rozruchy, które wybuchły w Bejrucie w związku z ogłoszeniem traktatu pomiędzy Francją a Libanonem, przybrały natychmiast wyraźnie antyarmeński charakter.

W obliczu tej sytuacji nie byłoby nic bardziej naturalnego, jak przychylne ustosunkowanie się Armeńczyków do wzrostu żydowskich wpływów i pozycji w Palestynie. Ale Armeńczycy z obcością i nieufnością patrzą na ekspansję syjonizmu w Palestynie i są znacznie bliżsi obozu arabskiego.

Jakie są przyczyny tego stanowiska? Palestyna, jej gospodarstwo i ludność, dzielą się na dwa, wyraźnie od siebie rozgraniczone sektory — żydowski i arabski. Otóż Armeńczycy należą do sektoru arabskiego — co stanowi klucz zrozumienia problemu. Armeńczycy mieszkają wśród Arabów, znajdują się więc stale pod ich groźbą. Zachowanie się ich w czasie zeszłorocznych rozruchów można w dużej mierze przypisać tej okoliczności, chociaż byłoby błędem uważać ją za jedyną przyczynę. Armeńczycy mają też uczucie wspólnoty losów z ludnością arabską. Albowiem żyją oni nie tylko wśród Arabów — ale także z Arabów. Jako rzemieślnicy, kupcy i zatrudnieni w wolnych zawodach wykonywują oni określone funkcje gospodarcze i socjalne wewnątrz sektoru arabskiego, do żydowskiego zaś nie prowadzi ich prawie żadna droga.

W większym stopniu niż Arabowie odczuwają oni konkurencję żydowską — albowiem oni właśnie przed imigracją żydowską spełniali rolę pośredników gospodarczych i kulturalnych pomiędzy Europą a Wschodem. Jeśli nawet, licząc absolutnie nie stracili przez syjonizm, to jednak trudno zaprzeczyć, że relatywne wypieranie przez bardziej europejskich Żydów wywołuje uczucie zawiści wobec Żydów i niechęć w stosunku do żydowskiego dzieła odbudowy.

Do tej gospodarczej wspólnoty losu z arabskim sektorem dochodzą jeszcze momenty psychologiczno - społeczne. Społeczeństwo żydowskie jest dla Armeńczyków na ogół zamknięte; nieliczni tylko Żydzi potrafią ich w ogóle odróżnić od Arabów. Dokonała się też wśród nich pewna arabizacja kulturalna, która doprowadzić może do całkowitego zlania się Armeńczyków z Arabami chrześcijańskimi.

Zjawiska te nie dotyczą w tak silnym stopniu Jerozolimy. Tutaj bowiem gmina armeńska i poszczególni Armeńczycy posiadają większe posiadłości ziemskie, które rozwijają częściowo przy pomocy kapitału żydowskiego. Tak oto podstawa gospodarcza Armeńczyków nie pokrywa się tutaj z sektorem arabskim. Typowa pod tym względem jest sytuacja w Jaffie. Niebywały rozrost gospodarczy, i urbanistyczny Tel-Avivu przeszedł bez śladu dla Armeńczyków, którzy, tak jak przed tym pozostali w wąskich i zaniedbanych uliczkach arabskiej Jaffy.

Chcąc uczynić z Armeńczyków naszych politycznych przyjaciół i rozwiać ich nieufność wobec Żydów, musimy jak najszerzej otworzyć przed nimi wrota żydowskiego sektora gospodarczego, musimy pomóc im w emancypowaniu się spod socjalnej, gospodarczej i kulturalnej zależności od Arabów i zachęcić ich do korzystania z daleko większych możliwości sektora żydowskiego. Krótko: z mniejszości narodowej wśród Arabów należy uczynić z Armeńczyków mniejszość narodową wśród Żydów. Nie należy przy tym zapominać, że być Żydem w Palestynie oznacza przewagę z punktu widzenia gospodarczego. O kilkaset metrów na prawo i na lewo od Tel-Avivu można stwierdzić, że za tę samą pracę płaci się wynagrodzenie wyższe o 100% i więcej w zależności od tego, czy pracownik zalicza się do żydowskiego czy arabskiego sektora. Korzyść pracownika armeńskiego, przyjętego, jako równouprawniony do żydowskiego sektora — jest oczywista. Ale także dla armeńskiego kupca możliwości gospodarcze żydowskiego sektora są przyciągające. Do tego dochodzi siła przyciągająca „europejczyków" społeczeństwa żydowskiego i — last not least — także wspomnienie smutnych doświadczeń współżycia z narodami muzułmańskimi, poczynione w ostatnich dziesięcioleciach ich dziejów. Jeśli więc istotnie gotowi jesteśmy zrobić wśród nas miejsce dla Armeńczyków w sensie gospodarczym, a do pewnego stopnia także społecznym i kulturalnym, to niewątpliwie znajdzie to oddźwięk wśród Armeńczyków.

Punkt zwrotny w tej dziedzinie można sobie wyobrazić w ten sposób, że od pewnego czasu pocznie się, na zasadzie odpowiednich warunków, traktować Armeńczyków, jak pełnoprawnych członków sektora żydowskiego. Przemiana ta nie może się dokonać z dziś na jutro, lecz wymaga świadomej akcji przygotowawczej zarówno wśród Armeńczyków, jak i Żydów. Należy zawrzeć rodzaj układu pomiędzy społecznością żydowską a gminą armeńską w Palestynie (rzeczą drugorzędną jest, czy taki układ zostanie formalnie podpisany, czy też wejdzie w życie, jako milczące porozumienie). Układ taki mógłby mieć następujące brzmienie: „My, Żydzi przyjmujemy Was do naszego gospodarczego i społecznego sektora jako równouprawnionych członków tegoż — Wy, Armeńczycy, oddalicie się politycznie od Arabów i wypowiecie się za syjonizmem i jego aspiracjami".

Można przewidzieć, że taki wniosek napotka na silne zastrzeżenia w obozie żydowskim. Ale zastrzeżenia natury gospodarczej nie dadzą się utrzymać. Na zagadnienie pracy żydowskiej de facto mało to wpłynie, albowiem liczba robotników armeńskich — w szczególności rolnych — jest minimalna. Także wśród subiektów, rzemieślników, wolnych zawodów i t. d. absolutne liczby są tak minimalne, że nie może być mowy o obciążeniu żydowskiego rynku pracy. Do tego zaś proces będzie przecież wzajemny. Także armeńscy pracodawcy, których relatywnie wcale nie jest tak mało, będą zatrudniać żydowskich pracowników. Nie należy także przesadnie obawiać się konkurencji kupców armeńskich.

Poważniejsze są zastrzeżenia natury pryncypialnej. Wysunie się zarzut, że przez przyjęcie Armeńczyków do naszego sektora gospodarczego i socjalnego, straci on czysto żydowski charakter. Tak np. Tel-Aviv kładzie duży nacisk na ten swój czysto żydowski charakter. Otóż zapomina się, że także teraz Tel-Aviv nie jest absolutnie czysto żydowskim miastem; jako miasto międzynarodowych stosunków handlowych przyciąga ono i zawsze będzie przyciągać cudzoziemców.

Mimo to społeczność żydowska w Palestynie jest za żydowskim puryzmem i przeciw przyjmowaniu elementów nieżydowskich. Ale Palestyna — to nie galut. To co słuszne jest w diasporze, nie musi być też stosowane tutaj. Nie powinniśmy się tu obawiać, osłabienia żydowskości przez zetknięcie się z nie Żydami. Przeciwnie, społeczność żydowska, podobnie, jak każda normalna i terytorialnie zakorzeniona narodowość, sama wywiera asymilujące działanie. Dzieci małżeństw mieszanych czują się jak Żydzi, i tak są wychowywane. Musimy więc w Palestynie zerwać z tradycyjnym ekskluzywizmem wobec nie-Żydów.

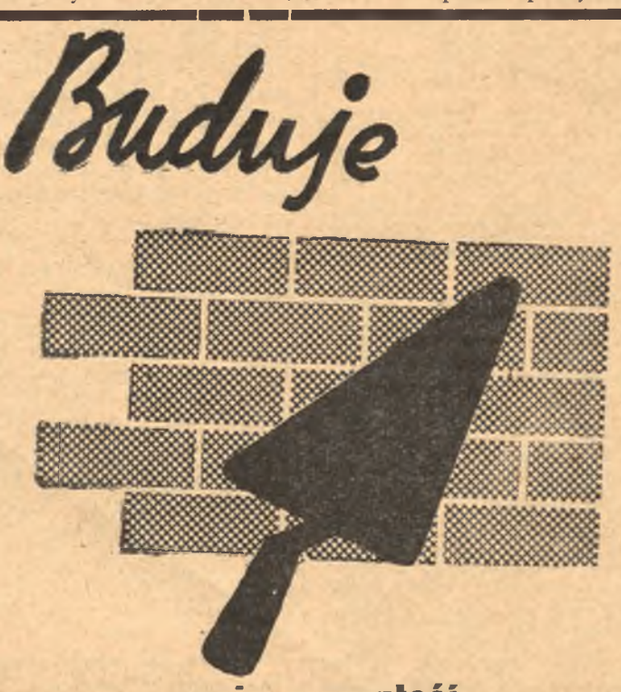
Wysunie się też, może, argument, że w ogóle nie opłaci się wszczynać całej tej akcji w stosunku do mniejszości, która liczy ledwo parę tysięcy. Odpowiedzialny polityk, stojący w obliczu tak poważnego zadania, jak syjonizm, nie będzie jednak tak argumentować. Nawet w tak małych i dalekich krajach, jak np. Szwecja lub Dania, staramy się ogranizować wśród nie-Żydów pro-palestyńskie komitety, spodziewając się po nich politycznej pomocy. Zaniedbaliśmy tylko tego w samej Palestynie i w sąsiadujących z nią krajach, pozbawiając siebie w ten sposób politycznych sprzymierzeńców. Takie kilka tysięcy Armeńczyków stanowi czynnik, którego nie powinniśmy lekceważyć, albowiem ich pozycja gospodarcza jest znacznie większa, od liczebności. Donioślejszy jeszcze będzie wpływ na zewnątrz. Wyobraźmy sobie, że proces zbliżenia się z Armeńczykami posunąłby się już obecnie tak daleko, iż przed Komisją Królewską stanąłby przedstawiciel mniejszości armeńskiej i zadeklarowałby w imieniu owej narodowości, że Armeńczycy popierają dążenia syjonistyczne — czy nie wywarłoby to wielkiego wrażenia?

Z tego punktu widzenia proponowany krok miałby wielkie znaczenie zasadnicze; jeśli bowiem uda się eksperyment z Armeńczykami, wówczas następni z kolei będą Grecy, którzy sami poproszą o podobne rozwiązanie. Również tu zagadnienie jest na ogół podobne, chociaż Armeńczycy bardziej nadają się na pierwszy eksperyment.

Jeśli zaś w Palestynie Armeńczycy liczą ledwo parę tysięcy, to w Syrii i Libanie jest ich około 100.000. Tam są oni poważnym czynnikiem gospodarczym i politycznym, który do tego, w przeciwieństwie do Palestyny, ma wyraźnie anty-panarabskie nastawienie. Przymierze z nimi byłoby więc czymś zupełnie naturalnym. A obok Armeńczyków, wszystkie liczne chrześcijańskie narodowości, mniejszości i sekty Syrii oraz Libanonu są w większym lub mniejszym stopniu przeciwne panarabizmowi.

Decydującą okolicznością jest przyszły rozwój Libanonu. Jak długo Syria i Libanon znajdują się pod protektoratem francuskim, powstaje w Libanonie reakcja w postaci nastrojów panarabskich. Jak tylko jednak poczęto mówić o zniesieniu mandatu, powstała przepaść pomiędzy chrześcijańskim Libanonem a muzułmańsko-panarabską Syrią. Nie wiemy, jak rozwiną się stosunki w Libanonie. Możliwe, że dojdzie tam do porozumienia z muzułmanami i Syryjczykami, przez co urosną znowu nastroje panarabskie. Możliwe jest także, że rozdźwięk nie będzie usunięty, że Libanon silniej jeszcze rozwinie swą chrześcijańsko - zachodnią odrębność i rozluźni stosunki z krajami muzułmańskimi. Oznaczałoby to zwycięstwo tego kierunku wśród inteligencji libanońskiej, która kwestionuje arabski charakter kraju, uważając się za następców i potomków starożytnych Fenicjan. Ciekawe, że językiem kościelnym Maronitów, t. j. najpoważniejszej grupy chrześcijan libanońskich, jest syryjski, a więc język bliski aramejskiemu z okresu talmudycznego.

Obowiązkiem naszym jest nie poprzestawać na biernym i dalekim obserwowaniu tych ewolucji, ale działać, gdzie to tylko możliwe, nawiązywać kontakty, podtrzymywać stosunki, ostrożnie, systematycznie prowadzić propagandę. Winniśmy szukać kontaktu z każdym potencjalnym przeciwnikiem panarabskim, bez różnicy, czy chodzi tu o wpływowych Maronitów, Armeńczyków albo nieszczęsnych, wypędzonych z Iraku Asyryjczyków; winniśmy uczynić z nich naszych aktywnych albo cichych przyjaciół.



swoją przyszłość
na mocnym fundamencie
kto gra w szczęśliwej kolekturze
J. WOLANOW
Warszawa — ul. Marszałkowska 154
Zamówienia zamiejscowe załatwia się odwrotnie. Konto PKO 18.814.

J. Halamski

Rasizm — fikcją antysemityzm — dywersją

Rozmowa z prezesem francuskiej Partii Radykałów Społecznych Gabrielem Cudenet

Profesor Gabriel Cudenet, człowiek o głębokiej wiedzy i rozległym horyzoncie myślenia, zalicza się do najbardziej poważanych przedstawicieli obozu francuskiej demokracji. Przed kilku laty, gdy na skutek silnego nurtu politycznych wydarzeń we Francji, partia radykałów zdawała się oscylować ideologicznie, grawitując na przemian ku prawicy i lewicy społecznej, wybitny jej członek i nieustępliwy ideolog doktryny partyjnej, Cudenet założył własne stronnictwo polityczne o tejże nazwie dorzucając jednak do tytułu: odłam Camille Pelleten. Był to właściwie wskaźnik nawrotu do ducha partyjnego radykalizmu. Ta secesja w łonie najliczniejszej podówczas partii Francji wpłynęła (i nadal wpływa) na główną linię wytyczną partii Heriota, prostując ją ideologicznie i praktycznie.

Już choćby z tytułu zajmowanych stanowisk społecznych łatwo ocenić znaczenie i wpływ Gabriela Cudenet w publicznym życiu Francji. Po za prezesurą centralnego komitetu Ligi Praw Człowieka i Obywatela, jest on członkiem egzekutywy Związku Światowego przeciwko faszyzmowi i wojnie oraz członkiem egzekutywy Związku Międzynarodowego przeciwko rasizmowi i antysemityzmowi.

Gabriel Cudenet jest znakomitym oratorem i publicystą. Swe artykuły publicystyczne zamieszcza na szpaltach licznych pism demokratycznych, propagujących hasła tych organizacyj, w których pracuje, a do niedawna (do chwili wykupienia pisma przez płk. la Rocque'a) prowadził dział polityczny w niezwykle poczytnym dzienniku „Petit Journal".

Naszą rozmowę prowadziliśmy z tym wybitnym działaczem społecznym i politycznym w jego prywatnym apartamencie, gdzie — jak nas zresztą jego urocza sekretarka zapewniała — „mówi się bez przeszkód". I oto odpowiedź Gabriela Cudenet:

— Rasizm, o który pan pyta nie przedstawia sobą nic nawet z punktu widzenia filozoficznego. Rasizm nie jest wykładnikiem żadnej nauki i nie może nam posłużyć jako miara wartości człowieka ani pod politycznym kątem widzenia, ani z punktu widzenia zasad filozofii. Cywilizacja ludzka w tym stopniu zmieszała poszczególne rasy, że nie sposób dziś konstruować czegokolwiek na rasowych podstawach. Gdybyśmy chcieli się zająć gruntownym badaniem fałszerstw pseudo naukowych, nie trudno by nam było dowieść panu Hitlerowi, że wycinek obecnych Niemiec, Prusy, stanowił dawniej składową część Rosji. Już zresztą w tym wypadku łatwo zastosować określenie: nomen — omen; Prusy znaczy: pro Rus.

To co pewni ludzie określają rasą germańską, przechodziło na przestrzeni wieków tyle najazdów i inwazji, podlegało tak znacznym wpływom zewnętrznym, iż w dniu dzisiejszym stanowi typowy melanż ras, melanż heterogeniczny. W świetle tej prawdy tak zwana teoria rasowa staje się zwykle fikcją, pozostającą na usługach faszyzmu, celem okłamywania ludu i egzaltowania narodowej pychy. Moim zdaniem osobistym, hasła rasistowskie, lansowane w Niemczech, służą ich propagatorom w tym jeszcze celu, ażeby pokryć i zrekompansować istniejącą mimo wszystko kruchość niemieckiej narodowej jedności.

Gdy zawaliło się imperium niemieckie i runęła dynastia panująca, jedność Niemiec mogła się zachować albo dzięki daleko posuniętej demokracji, albo też dzięki Hohenzollernom. Hitler posłużył się innym środkiem, fikcyjnym, uciekł się do wyboru elementu rasowego. Usiłował on Niemcom wmówić, że jedność narodowa nie jest bynajmniej dziełem imperium, lecz realnym tworem opatrzności, czuwającej nad rozwojem społeczeństwa na podstawach rasowych. Głosem prasy odwoływał się do instynktów dumy i buty narodowej, starając się na tej bazie skonstatować germańską jedność. Bismarck jednoczył lud niemiecki, wygrywając na strunach rozsądku i instynktu. Hitler usiłuje uczynić to samo przy pomocy środków imaginacji i pasji. Rasizm głoszony przez nazistów jest więc obłudną fikcją, sztucznym bezwartościowym produktem. Przypomina mi on karabin, który wprawdzie oddaje kule, ale trafiają one w próżnię.

Drugie pańskie pytanie dotyczy problemu antysemityzmu. Otóż zdaniem moim antysemityzm jest głównym celem rasizmu w Niemczech i zasługuje na specjalne rozpatrzenie.

Psychologia zna powtarzające się często wypadki, które wymagają odwrócenia uwagi od istotnych źródeł ich powstania. Inaczej mówiąc: pewne wydarzenia mogą się dokonywać wtedy tylko, gdy znajdują dla siebie ofiary. Myślę, że antysemityzm jest takim właśnie objawem. Przesłania on bowiem faktyczne przyczyny rozmaitych zjawisk, które to zjawiska bez trudności znajdują ofiarę w żydostwie. W ten sposób antysemityzm rodzi się z niecnej potrzeby szukania osoby, lub grupy osób obciążając je odpowiedzialnością za czyny, których one nie dokonały. Ale nie zawsze ta nienawiść w stosunku do Żydów jest celem samym w sobie; zbyt często propaganda haseł antysemickich służy jedynie jako odskocznia do walki z postępem, lub — co łatwo stwierdzić — z marksizmem. Narodowy socjalizm w Niemczech posługuje się antysemityzmem i w innym jeszcze celu; wypycha Żydów w zajmowanych przez nich stanowisk, oddając te ostatnie tak zwanym aryjczykom. Chyba zbędnym jest na tym miejscu komentarz, mówiący, iż hołdowanie zasadzie: „uchodź, bo ja chcę twoje miejsce zająć" świadczy o polityce najohydniejszej, zidentyfikowanej z prawem pięści. Proszę nie myśleć, że uprawianie tego rodzaju polityki jest dla jej inicjatorów bezcelowe. Potrzebna jest praca dla bezrobotnych? — wyrzuca się Żydów, obsadza się ich stanowiska „pełnowartościowymi".

(dokończenie na str. 4-ej)

Okno na świat

Dwóch nas być nie może...

W OCZACH LONDYNU.

W chwili, gdy Berlin cały został udekorowany flagami niemieckimi i gdzie nie gdzie — włoskimi, gdy ludność stolicy Niemiec raczej z ciekawości, aniżeli dla entuzjazmu wyszła na ulicę, by przyjrzeć się temu, jak wygląda wódz Italii faszystowskiej — mieszkańcy Londynu spokojnie wyjechali na week-end. Tak jak gdyby Anglicy nie przywiązywali zbytniej wagi do tego, co się dzieje w Berlinie i Monachium.

Korespondent londyński „Paris Soir" donosił w owym dniu:

„Opinia angielska wydaje się dotychczas być zupełnie obojętna w stosunku do tego, co się dzieje w Berlinie. Jestem tu zaledwie trzydzieści sześć godzin. Jest to zapewne za mało, by zdać sobie zupełnie sprawę. Część Londynu jest jeszcze na wsi, część w Szkocji.

Timesy doniosły z całą powagą o tym, że ZOO wzbogaciło się o nowych pensjonariuszów, szczególnie o parę rzadko spotykanych kaczek, o purpurowym napierśniku, które przybyły z Syberii i które tak świetnie potrafią aklimatyzować się w Londynie, że oczekują obecnie potomstwa. Te idylliczne nowiny zajmują tyleż miejsca, co wiadomości z Rzymu i z Berlina.

Tytuły gazet donoszą o wszystkich detalach triumfalnej podróży. Podają te nowiny bez żadnych komentarzy. Łatwo domyśleć się, co tu myślą o pociągu pancernym, o eskadrze lotniczej, o luksusowym bezpieczeństwie, jakie otacza Duce, nie mówiąc o szeregach ciągnących się poprzez długie kilometry czarnej straży, jako też o brunatnych koszulach, nie mówiąc już o pięciu tysiącach tajnych wywiadowców, zmobilizowanych dla tego przyjacielskiego spotkania. Wiem, że my Francuzi możemy to zrozumieć, przypominając sobie zamach w Marsylii i kilka innych zamachów na nasz system bezpieczeństwa. Ale nie należy dziwić się Anglikom, gdzie na pogrzebie króla Jerzego V-go, król Edward VIII oraz jego bracia szli piechotą za trumną, dziesięć kroków od tłumu, tak po prostu, jak gdyby tłum cały był jedną wielką rodziną".

W OCZACH PARYŻA.

Jeśli Londyn nie przejmował się zbytnio wydarzeniami podczas wizyty berlińskiej, to należy jednak stwierdzić, że i w Paryżu nie przywiązywano zbyt wiele wagi do tej demonstracji serdecznej przyjaźni dwóch totalnych wodzów.

Na łamach Marianne, Jules Romains w następujących słowach ocenia rozmowy berlińskie:

„A więc, wokół tej rozmowy, miliony i to miliony głów będą pracować. Oto czego potrzeba: raczej, oto czego pragną. Miliony głów świadków naocznych, którzy w przelocie widzieli karety obydwu wodzów. A szczególnie, dziesiątki miliony głów świadków pośrednich: czytelników gazet, słuchaczy radia, cała ta posłuszna i niezliczona armia współczesnej informacji.

Najbardziej, rzecz jasna, głowić się będą na tym głowy niemieckie i głowy włoskie. To o nich przede wszystkim myślano, organizując to niezwykłe widowisko. Było ono przeznaczone na to, by ich wzmocnić na duchu, by ich rozweselić, by ich ogłuszyć i pocieszyć. Stanowi to widowisko tę dozę pijaństwa, którą totalne ustroje są zmuszone rozdzielać co pewien czas."

Przypominając pierwsze spotkanie dwóch mężów stanu, które, jak wiadomo, zupełnie nie poszczęściło się, zapytuje obecnie Jules Romains:

„Czy te rzeczy lepiej zeszły się tym razem?"

Sam waham się, czego powinniśmy sobie teraz życzyć? Nie ulega wątpliwości, że ci dwaj mężowie stanu są bardzo niepokojącym elementem dla pokoju świata. Każdy z nich jest tym zresztą zosobna. Czyż nie są tym jeszcze bardziej, gdy są razem? Ale kiedy są bardziej niebezpieczni? Wtedy, gdy raczą być razem, czy też wtedy, gdy rywalizują ze sobą? Zapewne jeden z nich jest pod pewnymi względami uczniem drugiego, i mógł osiągnąć sukces tylko dzięki temu, że ten wskazał mu drogę. Ale czy naprawdę mogą siebie zrozumieć? Należy o tym wątpić. Nienawiść, jaką budzą w demokracji, a której wagę sobie zdają sprawę, jednoczy ich zapewne bardziej, aniżeli ich poglądy, a szczególnie aniżeli ich cele. Nie sądzę zresztą, że zdają sobie jasno sprawę z otchłani, jaka ich dzieli. Mussolini, który jest bardziej subtelny, wyczuwa to być może. Ale nie stara się może głębiej analizować tych spraw. Wystarczy mu, gdy sobie powiada:

„Wielki człowiek — to jestem ja."

Jeśli, cudem, pewnego dnia — jeśli to będzie za naszych dni, czy za dni innych, — dojdą do tego, że się dokładnie zrozumieją, to znaczy, jeden zrozumie dokładnie co tkwi na dnie duszy drugiego, co z tego wyniknie? Spisek bardziej zwarty przeciw temu, co jeszcze pozostało z wolności na świecie i z pokoju? Bądź też uległość jednego wobec drugiego, w myśl stwierdzenia: DWÓCH NAS BYĆ NIE MOŻE.

W OCZACH RZYMU.

Inaczej rzeczy przedstawiają się w oczach Rzymu. Oto organ faszystowski z dnia 26 września 1937 roku tak ocenia sytuację:

„Wielka publicystyka europejska popełnia ten sam błąd. Zbyt pospieszne komentarze do wizyty Mussoliniego w Niemczech są albo żałośnie śmieszne, albo komiczne, albo tępe. To nie po raz pierwszy publicystyka polityczna Europy daje dowód swej tępoty, i łączy to z duchem najbardziej prymitywnym i grubiańskim. Podróż Mussoliniego ma dla tych pisarzy od małych genewskich historyjek wszelakie znaczenia, prócz tego jasnego, które obydwa narody przypisują jej tylko wskutek ciepła swych uczuć. Tak samo, jak pięć lat temu, szanowna prasa europejska zapytuje, dokąd prowadzi spotkanie Mussoliniego z Hitlerem. Pięć lat temu chodziło o sprowadzenie Niemiec do Genewy, o zbliżenie Francji z Niemcami, o zmniejszenie nienawiści niemieckiej do Sowietów i o szereg innych głupstw, bez głowy i bez ogona, jako też bez wszelakiego sensu.

Prasa europejska, najbardziej znakomita od wielu tygodni tylko powtarza szereg głupstw o obydwu państwach, tak zwanych „nowych". Niezdolna do ich zrozumienia, stara się dać o nich wygodne oświetlenie w myśl polityki genewskiej, polityki sfałszowanej historii i konwencjonalnych kłamstw. Ta prasa — której zawdzięczamy w wielkim stopniu niespokojny brak orientacji opinii europejskiej i największe błędy, popełnione przez dyplomację — nie zrozumiała pierwszego spotkania dwóch szefów i nie rozumie drugiego spotkania. Tak samo, jak wtedy, pragną tu wmieszać jakąś sprawę francuską, tak samo dzisiaj pragną w to włączyć jakąś sprawę angielską. Jak gdyby dwa wielkie narody, powstałe przez najwyższe cnoty, mogły zadowolić się życiem i działaniem dla jakichś interesów zagranicznych, tak jak gdyby miały żyć w ciągłej uległości w stosunku do dzieła innych.

Italia i Niemcy zajmują obecnie taką sytuację, wynikającą z ich prestiżu i siły, że mogą lekce sobie ważyć wszelki element obcy dla rozwoju ich własnej logiki, polityki wspólnej wynikającej z faktu, że zgoda silnych sprzyja męskiemu pokojowi, z chwilą gdy silni są za pokojem. Każde inne stwierdzenie, tyczące tego zjawiska, jest pozbawione gruntu, każda próżna insynuacja — szkodliwa. Zresztą, jak każdy to wie z długiego doświadczenia, ostatnia historia europejska jest utkana z faktów."

Należy przy tej okazji przypomnieć, że Mussolini przemawiając w dniu 10 lutego 1925 oświadczył:

„Oświadczam, z dokładną znajomością faktów, że w szerokich kołach ludności niemieckiej nie zrezygnowano jeszcze z tych szaleńczych marzeń, jeśli nawet chodzi o zwykłe żądania natury czysto kulturalnej, na ziemiach pod panowaniem włoskim... Dziś jest faktem, że Niemcy nie tolerują szkół w języku polskim, na terytoriach, gdzie istnieje mniejszość polska. A nawet tam nie tolerują, gdzie jest mniejszość duńska... Szanowny panie Streseman, zanim pan szuka zdźbła słomy w oku włoskim, niech pan zdejmie drewno z własnego oka. Świadczy to o tym, że gdyby Austriacy i Niemcy zwyciężyli, wszystko to co jest włoskie zostało by zburzone od Brenneru do Garda. Niemcy zamierzają więc brać na siebie, w ramach czy po za Ligą Narodów ochronę duchową wszystkich Niemców na świecie, należy zdać sobie z tego sprawę i dokładnie zbadać te sprawy.

Ale oświadczam niemniej jasno, że rząd faszystowski zareaguje z całą energią na wszelki projekt tego rodzaju."

W OCZACH BERLINA.

I w końcu, odgłosy berlińskie wizyty Duce.

„Voelkischer Beobachter", po mowach dwu wodzów stwierdza, że obydwa wielkie mocarstwa, *ze swej własnej woli, ze swej własnej siły*, mogą wspólnie gwarantować nowe podstawy życia europejskiego. Dwa narody odrodzone dzięki rewolucji są gwarancją dążeń ich szefów do oddalenia wszystkich fałszywych Bogów Moskwy i Genewy. Ich pełne odrodzenie jest wskaźnikiem nowych wartości, i młodych sił dla przyszłego odrodzenia Europy.

„Deutsche Allgemeine Zeitung" stwierdza, że obydwa przemówienia rozproszyły wszelką wątpliwość w odniesieniu do stosunków niemiecko-włoskich, identyczność koncepcji, tak usilnie manifestowanych przez Mussoliniego, jego wrogość w stosunku do materializmu, jego ogłoszenie wojny trzeciej międzynarodówce, i bolszewizmowi, jego jasne słowa, tyczące odwołania ochotników walczących w Hiszpanii unaoczniły, gdzie imperium rzymskie widziało swych prawdziwych wrogów. Te słowa powinny, coprawda, rozproszyć niepokój Anglików. Dobrze się stało, że świat dowiedział się, iż Hitler i Mussolini są przyjaciółmi."

A WIĘC: WOJNA CZY POKÓJ?

Oto mały bukiet kilku głosów, tyczących podróży berlińskiej Duce, podróży widzianej różnie z czterech stolic świata.

A teraz na zakończenie ocena całości w oczach publicysty paryskiego „Populaire":

„Oś Berlin — Rzym jest mocna i będzie trwała, gdyż wyraża ona wspólność interesów i planów dostateczną dla ugruntowania najbardziej ścisłej współpracy na długi okres czasu. Wszystko zbliża ze sobą obydwa państwa faszystowskie: nic albo prawie nic ich nie rozdziela.

Włochy i Niemcy są wrogo usposobione do Ligi Narodów, do bezpieczeństwa kolektywnego, do paktów regionalnych. Pracują pospołu dla złamania Małej Ententy. Wysuwają na plan pierwszy sprawę zwrotu kolonii: Abisynii, Tunisu, dla Włoch, zwrotu starych kolonii dla Niemiec, przenikania wspólnego do Maroka.

Posiadają te same cele polityczne i wojskowe w Hiszpanii."

Tak ocenia socjalistyczny „Populaire". Ograniczyliśmy się chwilowo do podania głosów prasy: zbyt świeża jest jeszcze ta wizyta, by można było już obecnie zdać sobie dokładną sprawę z jej wagi i rzeczywistego znaczenia.

Nie pomniejszajmy natomiast, przy stwierdzeniu całej spójni osi Berlin-Rzym, wielkich przeciwieństw między tymi stolicami. Nie jest rzeczą wykluczoną, że w pewnej chwili jeden z dwóch wodzów oświadczy zgodnie z tuwimowskim wierszem: dwóch nas być nie może...

W tej chwili niepokojącym faktem dla pokoju europejskiego jest nadmierne zgranie dwóch stolic faszyzmu.

OUTSIDER.



Najnowszy przebój PLUTOS
„PRALINOR"
10 czekoladek różnych smaków w jednej tabliczce.

Rasizm — fikcją, antysemityzm — dywersją

(dokończenie ze str. 3-ciej)

mi" obywatelami, którzy nota bene tworzą szerokie kadry wiernych i pokornych zwolenników reżymu istniejącego. W przeciągu kilku lat masa zwraca uwagę na problem Żydów, w nich doszukuje się przyczyn swego niezadowolenia podczas gdy faktyczni winowajcy nie tylko nie są obiektem ataków, ale rosną w swej glorii i narzucają swój autorytet. Pyta pan o środki walki z antysemityzmem. Zdaniem moim, żadne nie będą skuteczne, o ile równocześnie nie podejmie się szeroko zakrojonej walki z faszyzmem. Wyeliminowanie antysemityzmu bez eliminacji faszyzmu jest utopią. Powiedzą niektórzy, że to mylna diagnoza ,albowiem w faszystowskich Włoszech nie ma antysemityzmu. Że go tam nie ma — zgadzam się. Ale jakże, zapytuję, można z czystym sumieniem oddzielić ofiary żydowskie w III Rzeszy od cierpiętnika chrześcijańskiego, Matteotti'ego w Italii?! Czyż nie są to te same ofiary, złożone na ołtarzu faszyzmu?! Nie ma różnicy w zasadzie między poszczególnymi strukturami faszystowskimi. Wszystkie one u swych podstaw mają wspólną dla siebie myśl, która nakazuje walczyć z tymi pięknymi i wzniosłymi ideałami, co podnoszą ducha ludzkiego, co go wzbogacają i uszlachetniają. Wszystkie odmiany faszyzmu opierają się na elementach przymusu i niewoli, na zasadach serwitutu, na koncepcjach panowania i ujarzmiania pewnych grup społecznych przez inne, na negacji dynamizmu mas, o czym zresztą wszyscy myśliciele głosili. Faszyzm, czy on się przejawia w formie barbarzyńskich upośledzeń wolnej myśli, czy w formie eksterminacji Żydów z należnych im stanowisk, czy w formie łagodnych aktów rządzi gwałtem, łgarstwem, obłudą, fałszem i zbrodnią. Wszędzie nosi on na sobie ten sam stygmat, wszędzie jest zaprzeczeniem cywilizacji i negacją humanitarności. Antysemityzm jest organicznie związany z faszyzmem i dlatego też walka z antysemityzmem bez jednoczesnej walki z faszyzmem wygląda tak, jak chęć unikania błyskawic bez zapobiegania tworzenia się chmury. Żydom powinno zależeć na unicestwieniu antysemityzmu nie mniej, niż nam, demokratom, chrześcijanom i antyfaszystom. W tym celu obowiązkiem Żydów jest poznać prawdziwe oblicze faszyzmu. Bilans faszyzmu na terenie monetarnym, to kompletne bankructwo; na terenie ekonomicznym — głód; na terenie humanitarnym — negacja. Gdy się zagłębimy nieco, pojmiemy, że hitleryzm jest właściwie tworzywem sztucznym, anormalnym, umiejącym wszakże wtargnąć do duszy Niemca przez jego najgorsze zakamarki, przez najprymitywniejsze instynkty. Usiłuje on refleksy i światła rzucone przez geniusz ducha ludzkiego na szerokie horyzonty myśli odwrócić na te domeny życia ludzkiego, które są odzwierciedleniem dawnych, zdawałoby się bezpowrotnych czasów. Przywódcy hitleryzmu są prorokami nowej niewoli, której jednak ludzkość nigdy już nie przyjmie; ich wysiłki zmierzają w kierunku odnajdywania w jednostce ludzkiej tego, co stanowi pozostałość z czasów barbarzyńskich, tego, czego cywilizacja ludzka nie zdążyła jeszcze zatrzeć w człowieku i całkowicie zniweczyć. Ich metody rasistowskie i antysemickie służą w celu rozpalenia pasji, które podtrzymywało średniowiecze, a zniosła deklaracja Praw Człowieka. Naziści, to artyści zbrodni. Czy istnieje dziś w epoce kultury nauki większy anachronizm, aniżeli przesąd rasowy i antysemicki?! Nie potrzeba już sięgać do etnologii, by stwierdzić ile w nim sztuczności i obłudy. Rathenau dobrze pojął psychikę Niemiec, podczas gdy Hitler szuka jej i nie znajduje. Rathenau czuł moc Niemiec i widział jej słabości, Hitler chce potęgi Niemiec poprzez autarchię... Cóż istnieje bardziej szkodliwego dla obiegu i cyrkulacji wytworów gospodarczej aktywności, jak system autarkiczny?! Demokracji europejskiej wypada dziś być świadkiem spektaklu z rzeczywistego zdarzenia, gdy rząd organizuje blokadę swego własnego państwa... Nic więc dziwnego, że trudności w Niemczech, miast ulec rozwiązaniu, pogłębiają się ustawicznie. Hitleryzm gruntuje trakt do swej ekspansji. Ale robi to przy pomocy intryk i zbrodni.

Rozwiązanie problemu antysemityzmu, tak samo, jak rozwiązanie wszelkiego problemu można uskutecznić pod warunkiem, że postawi się zagadnienie otwarcie i odważnie. Antysemityzm musi trwać tak długo, jak długo istnieć będzie faszyzm. Polityka faszyzmu opiera się na dywersji ,na odwracaniu uwagi. Sztuka faszyzmu polega na organizowaniu i podsycaniu wszystkiego, co stoi na opak postępowi ludzkiej myśli... A tego realizować nie można bez oszukania mas, bez rzucania im tego, co winno być ich głównym poczynaniem, akcją ustawiczną, walką nieustępliwą. Przeto hitleryzm wyznacza inny cel, niż ten, który daje im zdrowa logika, historia, filozofia, ekonomia polityczna...

Każdy Żyd ,który deklaruje się walczyć z antysemityzmem, winien o tym wszystkim wiedzieć, zarówno o przyczynach antysemityzmu, jak i o jego ukrytych celach. Dopiero wtedy będzie gotów być z nami, demokratami, solidarnym w nienawiści do faszyzmu. Winien odpowiadać na nienawiść wobec niego nienawiścią wobec faszyzmu, winien wiedzieć o tym, że i my, chrześcijanie, którzy w sercu mamy religię i wiarę, a nie na ustach, — jesteśmy jego braćmi, jego współzawodnikami o realizację haseł prawdy ludzkiej i sprawiedliwości społecznej. I o tym niechaj Żydzi wiedzą: gdy nie będą z nami, antyfaszystami, bez różnicy na naszą przynależność organizacyjną, solidarni w odparciu ofenzywy niesprawiedliwości i prowokacji — sami wzmożą tym samym antysemicką hecę. Gdy powiedzą Żydom, że źle czynią, robiąc politykę, niechaj mają odwagę odpowiedzieć: „polityka to synteza wiedzy i sztuki; to uświadamianie mas, to wiedza ducha kolektywnego, to broń, która w nas celuje, jakże nie mamy do ręki chwycić tej broni politycznej, którą chce się nas zniszczyć, skoro sama natura nakazuje nam obronę siebie?" Nie jest Żydem ten, kto w obliczu obecnego spisku, wymierzonego już nie tylko przeciwko Żydom, ale i całej postępowej ludzkości która od półtora wieku wytwarza sumienie wszechludzkie — stoi bezczynnie, przyglądając się spokojnie aktom bezprawia i barbarzyństwa! Dziś nie czas być neutralnym, gdy fakty wymagają czynu, I tak jak za czasów Dreyfusa należy wybierać: za lub przeciw!

Żydzi są ludźmi inteligentnymi, ale inteligencją nie zawsze można wygrać. Przyszłość nie należy tak dalece do ludzi inteligentnych, jak do odważnych. Na nic się nie zda, gdy w usługach inteligencji i talentu brak woli poświęcenia i gotowości do ofiar. Myślę nawet, że geniusz ludzki jest związkiem talentu i odwagi. Zarzucają Żydom, że stają się agresywni. Nie! Żydzi mają prawo do życia tak, jak wszyscy inni ludzie na kuli ziemskiej; nie będą przez to agresywni, że upominać się będą o swoje prawa. Agresja przejawia się po stronie tych, którzy chcą zburzyć Izraela, zniszczyć socjalizm, zdławić dziedzictwo duchowe Wielkiej Rewolucji i wszelkie możliwości emancypacji. Żydzi mówią, że chcą się bronić. Słusznie mówią. Ich obrona polega na odpieraniu ataków, a nie na otrzymywaniu ciosów! Nie powinni zważać na głosy tych, którzy nie chcą rozróżnić obrony naturalnej i prawnej, logicznej i koniecznej od prowokacji. Gdy nie stawią zdecydowanego oporu w obliczu dzisiejszego niebezpieczeństwa, gdy zdesolidaryzują się w naszej wspólnej walce w obronie ludzkiej godności, ludzkich ideałów i w obronie zagrożonego świata przez siły faszyzmu, niechaj nie wznoszą po tym skarg do nieba, niechaj nie proszą nikogo o litość. Razem musimy dziś walczyć, by nie dopuścić do stanu, w którym narody staną się figurantami, statystami, których zbierze się dnia jednego na kongres europejski by wysłuchali przemówienia Führera...

Bezsprzecznie żydostwo jest dziś zagrożone, bo nie zapominajmy na chwilę, że Żydzi na całym świecie reprezentują coś zwartego, coś nierozłączonego, bo mimo wiekowych ucisków i prześladowań, mimo wydaleń i terroru zachowali oryginalność myśli, niewyczerpaną inwencję, pragnienie wiedzy i umiłowanie najwyższych ludzkich ideałów. Żydzi reprezentują siłę wieczystą, wolność i szlachetność.

Żydzi, najstarsi w historii mędrcy i filozofowie, nie dadzą się poniżyć przez dziki ryk rozbestwionych istot ludzkich! Żydzi zawsze zwycięsko wychodzili z każdej historycznej opresji. I tym razem wyjdą obronną ręką, ale tym razem — razem z wszystkimi, którym wygraża faszyzm. Do wspólnego naszego bloku antyfaszystowskiego Żydzi winni wnieść swą moc magiczną, moc Izraela, którą czerpią od wieków; ten element wiary, który Żydzi noszą w swych sercach i powtarzają w modlitwach, zcementuje nas wszystkich przed wspólnym niebezpieczeństwem. Są Żydzi, którzy z bojaźni przed innymi Żydami nie przejawiają walki z faszyzmem, a więc tym samym: z hitleryzmem i antysemityzmem. Tym chciałbym powiedzieć, że nienawidzę demokraty, który zaprzedaje się przeciwnemu obozowi, nienawidzę socjalisty, który zdradza socjalizm, nienawidzę Żyda, który zdradza swą rasę. Tych Żydów uważam za niewdzięcznych synów Izraela. My jesteśmy solidarni z cierpiętnikami żydowskimi, walczącymi dla dobra ludzkości i dlatego też mamy prawo żądać od Żydów, ażeby na sercu im leżał los chrześcijańskich martyrologów, których teryrozuje faszyzm. Dziś chwila nie taka, która toleruje wahanie się lub stanie na uboczu; trzeba się decydować. Powstrzymywanie się w obecnym momencie epokowym od walki z faszyzmem jest sianem antysemityzmu i zdradą ideologii demokratycznej. Niech mi niektórzy z pośród Żydów nie bąkają na ucho, że faszyzm jest silny, że on rośnie... Twierdzę, że faszyzm swe siły czerpie jedynie z naszej słabości. Jeśli historia zaznaczy kiedy, że był szarlatan, który przed ludem swoim chciał uchodzić jako Cezar, to z pewnością sumienny historyk dorzuci, że to była wina świata, bo za każdym razem gdy ten Cezar postąpił krok naprzód, świat się cofał. Jego tryumfy, jego Austerlitze wypływają jedynie z rezygnacji jego przeciwników z ich tchórzostwa. Tę prawdę należy głosić wszędzie i wobec wszystkich!

Żydzi powinni wiedzieć, że okres obecny znamionuje walkę ciężką i wytrwałą, walkę na śmierć i życie. Sumieniem świata nie może być „Mein Kampf", sumieniem świata jest etyka i wzniosłość prawnych tablic Mojżesza! Żydzi byli wieczni tułacze, wieczni pokrzywdzeni, ale też i wieczni zwycięzcy bez armat!... Ducha żydowskiego nikt nie zdławił na przestrzeni tysięcy lat. Także i w dniu dzisiejszym nikt tego ducha nie zdławi. Trzeba tylko jedno zapamiętać: antysemityzm jest narzędziem walki faszyzmu.



Dr. CHAIM LÓW

Demaskuję Irzykowskiego

Czy warto?Myślę, czy warto demaskować, czy warto dyskutować? Czy nie odstrasza poziom argumentów? Czy w końcu nie dość jasna jest intencja Hulewiczów, gdy urządzają ankiety żydowskie? Przecież wiadomo, o co chodzi tym panom. Wcale nie o argumenty, nie o dyskusję, czy zwycięstwo na papierze. Chodzi o to, żeby kamieniem cisnąć, studnię zatruć, jadem bryznąć i w nogi. Niech się „żydki" później między sobą handryczą, niech się głowią nad każdym apostrofem i znaczkiem pisarskim niech drżą o swą skórę. Kto ich argumentów wysłucha? A my sobie będziemy mieć chlubne konto i jeszcze chlubniejszą kartę... W razie czegoś! Nigdy nic nie wiadomo, co, jak i komu.

Dalibóg nie miałem zamiaru dyskutować z Irzykowskim. Nie tylko dlatego, że byłem przekonany o bezcelowości podobnych dyskusji, ani nie dlatego, że mnie Irzykowski w swym artykule perfidnie chciał rozbroić, pisząc o mojej „inteligentnej książeczce". Z ważniejszej przyczyny nie mogłem wziąć pióra do ręki; z tej, że artykuły Irzykowskiego były dla mnie tragicznym przeżyciem, wstrząsem, po którym nie mogłem zebrać myśli, jak nie mógłbym napisać nekrologu po stracie bliskiej osoby.

Naiwny, wierzyłem jeszcze w kilka osób w Polsce, a do nich należał Irzykowski. Myślałem, jeśli i on zejdzie do rzędu Łaszowskich, to już będzie koniec. I stało się. Irzykowski stanął karnie na apel Hulewiczów i Hrabyków i gromko odkrzyknął komendę, a komenda brzmiała „bij Żyda". I dlatego nie mogłem dyskutować, choć ze wszystkich płatnych paszkwilów, ten najbardziej zasługiwał na to, by się z nim rozprawić, żeby go wyświetlić, pokazać jego korzenie, wykazać marność jego argumentów, plugawość intencji. Właśnie dlatego, że autorem był Irzykowski.

Ale zmieniłem zdanie, gdy przez przypadek wpadł mi do ręki wywiad z Kruczkowskim. Autor „Kordiana i chama", zapytany, co sądzi o artykułach Irzykowskiego, powiedział, że są w nich argumenty, z którymi można dyskutować. To był dla mnie ważki głos, postanowiłem więc przeczytać po raz drugi Irzykowskiego, z góry przygotowany, że trzeba będzie może zrewidować swój sąd. I zmieniłem zdanie, nie o Irzykowskim, ale o potrzebie dyskutowania.

Argumentów do dyskusji nie znalazłem wprawdzie i za drugim razem, ale uprzytomniłem sobie, że trzeba się koniecznie rozprawić z głosem, który swą słodyczą mógł zwieść ludzi uczciwych. Już sama forma listu do Stefana Pomera, pozornie życzliwy ton w stosunku do Żydów i ciągłe uderzanie się w piersi to są genialne pociągnięcia arcytartuffe'a, po których można było w istocie zdziwić się, że nazwano je „chuligańskim wyczynem". Uważam jednak, że to co Irzykowski zrobił, było gorsze niż wyrżnąć kastetem. Na pikietowanie, żyletki i masakry zawsze się znajdzie sposób, gorzej będzie, jeżeli nas będą bić w rękawiczkach, jak to czyni Irzykowski. I dlatego należy się raz na zawsze rozprawić z tym świętoszkiem, wystawić na światło dzienne perfidie, ogłosić światu tragikomiczny koniec tego wypchanego orła.

CZAS UPRZĄTNĄĆ TĘ PAŁUBĘ.

Irzykowskiego ceniłem wysoko, może nawet więcej niż Brzozowskiego. Żadnej książki Brzozowskiego nie studiowałem z tym zapałem, który mi towarzyszył przy każdym słowie „Pałuby". Żałowałem sobie każdej karty, z obawy, by się to źródło natchnienia i rozkoszy intelektualnej nie wyczerpało zbyt szybko. Śmiałość pomysłu, nowość w podejściu, konsekwencja w opracowaniu były rewelacją, otwierały przed młodzieńcem z prowincji nie marzone nigdy horyzonty i zdawały się komunikować z najprzedniejszymi umysłami Europy. To był nowy wiew w zatęchłym partykularzu galicyjskim, to był ferment błogosławiony za który się płaciło peanami na cześć Irzykowskiego i szerzeniem bałwochwalczego kultu. Potem czytało się wszystko, co wyszło z pod pióra Irzykowskiego, bzdury nie bzdury, niewydarzone erotyki, pomylone dramaty pisane szachowym szyfrem, wszystko dla „Pałuby". Skiwski powiedziałby, że się Żydowi podobało w „Pałubie" to, co jest żydowskie, to znaczy niezrozumialstwo, megalomania, nudy na pudy, besserwisserstwo. Tak, ale wtedy jeszcze Skiwski nie wieszczbił.

Z czasem gwiazda „Pałuby" oczywiście zbladła. Nie zdawałem sobie sprawy, co prawda, dlaczego. Tyle tylko, że ją łatwo zaćmiła „Legenda Młodej Polski" i szlus. Dopiero później, gdy po raz pierwszy przeczytałem Prousta, zrozumiałem, na czym polega różnica między blokiem marmuru a „Dawidem" Michała Anioła, między bezładną kupką szkiełek a obrazem w kalejdoskopie. Jednym słowem, pojąłem, że „Pałuba" to bełkot jąkały w porównaniu z dziełem Prousta. Przejmuje tylko litością, o estetycznych wzruszeniach nie ma mowy.

Dopóki słowa i czyny Irzykowskiego szły w parze z duchem „Pałuby", z jej śmiałością, szczerością i umiłowaniem prawdy, mogliśmy mu wybaczyć sny o wielkości, nikomu nie szkodziły, a torowało się drogę prawdzie. Gdy jednak wyrzekł się całej swej chwalebnej przeszłości demokraty werydyka i człowieka niezależnego, gdy spadł do poziomu niegramotnych hrabyków hulewiczów, należy tę haniebną działalność raz na zawsze napiętnować i zawołać z czystym sumieniem: „Czas uprzątnąć tę pałubę!" Szczęść Boże w nowej, dobranej ferajnie!

ANTYSEMITA Z REZERWĄ.

Trudno dyskutować z wszystkimi „pomysłami" Irzykowskiego, przeznaczonymi dla bardzo niewybrednych gustów, ale warto przygwoździć niektóre „argumenty", które swoją perfidią mogą „zwieść" uczciwych ludzi. Przede wszystkim ten „Polak z rezerwą" ukuty przez Irzykowskiego, a mający już nieocenioną wartość obiegową. Nie podoba się panu Irzykowskiemu, że Żyd jest i być może tylko Polakiem z rezerwą, bo przez to Żyd zyskuje przewagę. Bo jakże, powiada Irzykowski, mnie ktoś nazwie grafomanem i muszę cierpieć, a jak Słonimskiemu ktoś krzyknie „wynoś się, parchu", to on sobie pojedzie do Palestyny i będzie pisał po żydowsku albo po hebrajsku.

Co prawda, to prawda. To by było krzyczącą niesprawiedliwością. Jak równość, to równość. Tylko nie wiem, jak sobie Irzykowski wyobraża Żyda bez rezerwy. Może by należało każdego poddać próbie, która by wykazała brak rezerwy. Takie na przykład otrzęsiny, jak w średniowieczu. Nie zły pomysł. Pragnie taki „żydek", jeden i drugi, wstąpić do cechu pisarzy polskich, to się musi wkupić i to nie na żarty, nie tak jak studenci w średniowieczu. Takie otrzesiny dzisiejsze to nie żadne faramuszki. Chcesz, bracie, zostać Polakiem bez rezerwy, to cierp. Przyjdzie korporant i buch cię w mordę, ty nic, cicho, sza; chuligan cię kastetem, to ty, brachu, módl się w duszy do wszystkich świętych, ale wara ci słowo pisnąć; spluwaczka w głowę, to ty ślinę połknij i cierp ad maiorem dei gloriam.

Sądzę, że to było by niezłe. Jak taki gość krzyknie „szma jisruel", znaczy się zaraz, że to rezerwa. Żeby to tylko, uważacie, wystarczyło Irzykowskiemu. Ze sceptykiem, to nigdy nie wiadomo. Będzie zawsze podejrzewał, że taki otrzęsiony Żyd zacznie kiedyś pisać w swoim „odrębnym języku". Tylko do licha, skąd mu się to wzięło, skąd on to ma? Czy ja wiem? Ponoć jakaś „żargonówka" drukowała swego czasu Tuwima wspomnienia z lat dziecinnych. Kiedy znowu Tuwim pod chajrem przysiągł, że to było tłumaczenie z polskiego. Zaraz, zaraz... Prawda, Maurycy Szymel, pisze teraz, jak słyszałem, po żydowsku. Anda Pinkerfeld, zanim się stała poetką hebrajską, wydala tomik poezji polskich. Ja sam także coś nie coś... Ale o tym wszystkim, do licha, Irzykowski nic nie mógł wiedzieć! A może gdzie indziej? Frug w istocie zaczął po rosyjsku i przeszedł na żydowski. Czernichowski i Fichman także, zdaje się, coś popełnili po rosyjsku. Ale o nich Irzykowski tym bardziej nic nie wiedział. Po przewrocie hitlerowskim także nikt z pisarzy żydowsko-niemieckich, nie zaczął pisać po hebrajsku ani po żydowsku, nawet nie Arnold Zweig, mimo że zamieszkał w Haifie. Choć nie wiem, czy było by to tak wielką zbrodnią. Jeszcze nikt nie robił wyrzutów Mickiewiczowi za to, że pisał dla chleba po francusku. Więc kogo i co do licha, miał na myśli Irzykowski, pisząc o „wewnętrznej emigracji"? Chyba że nic nie miał na myśli, co jest najprawdopodobniejsze. Quod erat demonstrandum!

DZIKIE PRETENSJE I ŚMIESZNE ŻALE.

Irzykowski tłumaczy się oczywiście z tego, skąd się wziął u niego żal do Żydów. Biedny Irzykowski! Tak pięknie marzył, a myśmy w pysk dali jego marzeniom. „Naród nadrzędny, elita ludzkości, naród drożdże"... — biada — „i nic". Tak się ładnie zapowiadało, a skończyło się na Wiadomościach Literackich i Słonimskim. Ha, trudno, się mówi w takim wypadku. My byśmy także woleli, żeby Tuwim był Heinem, a Słonimski Börnem, ale cóż robić, kochany panie Irzykowski. Pan też nie jesteś Bendą, i nikt mimo to nie ma do Pana pretensji. Nie od razu Rzym zbudowano. Klaczko, pierwszy Żyd w literaturze polskiej, umarł na długo przed Wielką Wojną. Jak na taki krótki czasokres, zrobili ci Żydzi dosyć dużo w literaturze polskiej. Nawet Feldman ze swoją „Krytyką", kto wie, czy nie zdziałał więcej dla Polski, niż Przybyszewski ze swoim „Życiem". Tylko nie wolno być daltonistą, zwłaszcza krytykom. Bo wówczas nie dostrzega się ani Peipera ze „Zwrotnicą" ani Wata z „Miesięcznikiem Literackim". O tym wszystkim Irzykowski zapomina, bo mu leżą na wątrobie „Wiadomości Literackie" i Słonimski. Że telefonował, że Grydzewski, że pryncypialista, że Słonimski, że stary osioł. Ja to dobrze rozumiem, ja sam nie kochałbym po tym wszystkim Wiadomości, ale co to wszystko, drogi panie Irzykowski, ma wspólnego z Żydami? Jakżeż można tak z powodu jednego telefonu robić zaraz „bij, zabij". Fe, to nie wypada! I ten kawał z marzeniami też nie jest w pańskim stylu. Ładnie byśmy wyglądali, gdyby każdy chuligan, który dopiero co wydłubał oko scyzorykiem Żydowi, tłumaczył się przed sądem, że musiał to zrobić, bo mu Żyd do marzeń nie pasował. Tak nie można, bezwarunkowo nie można! Poznał się na tym nawet towarzysz ideowy Irzykowskiego i następca w ankiecie. „Prawie każdy literat — wypomina patronowi Jerzy Zagórski — deklarujący się krytycznie w stosunku do Żydów, zaraz pierwsze słowo, jakie mówi, to „Wiadomości Literackie", a drugie Słonimski". I trzeba było panu, panie Irzykowski?

Żydzi nie dotrzymali cichej umowy, twierdzi Irzykowski. „Zamiast być źródłem mody Żydzi są tylko jej krzewicielami". Więc w jednym artykule odmawia się Żydom genialności, Marx byłby pono niczym bez Hegla, Einstein bez Lorentza a z drugiej strony mamy stworzyć coś nowego. Sprowadzono do kraju speców od wielkich rzeczy, a oni dłubią w nosie. Trochę więcej konsekwencji, panie Irzykowski, mimo, że z Żydami sprawa.

Irzykowski nie jest niesprawiedliwy w stu procentach, ma pretensje także do siebie, a jakże. „Żydów i tak wciąż bijemy, powiada, bijmy także trochę siebie samych, przynajmniej bijmy się w piersi". Nie trochę, panie Irzykowski, ale dużo. I to ciągle, przy każdej sposobności. Mea culpa, wołać, rano i wieczór, a własnej impotencji nie usprawiedliwiać tym, że ruch wydawniczy jest w rękach żydowskich, że Żydzi narzucają pisarzom sposób pisania, że jak Meduza zmuszają do poddania się. Głupi Żydzi! Gdyby byli trochę sprytniejsi, biliby takie nakłady, jak księgarnia św. Wojciecha, tylko nie wiem, co by wówczas na to powiedział nos pana Irzykowskiego.

Takimi talmudycznymi sztuczkami pragnie dziś elita umysłowa wymigać się, wytłumaczyć swą małość, tylko że na te plewy i wróbel z „Prosto z mostu" dziś wziąć się nie da.

MUZA Z ZAŚCIANKA.

Irzykowski nie wszystkim Żydom odmawia cech dodatnich. Są, powiada, wyjątki. Na przykład Ostap Ortwin. Zawdzięcza mu swą karierę, tak jak Alfredowi Nossigowi zawdzięcza pierwsze rozstrzygające wrażenie poetyckie, Kurt Hiller dał mu kilka lat ożywienia ideowego. I niech tu ktoś powie, że Irzykowski jest niewdzięcznikiem. I jaki on skromny, jak mało potrzebuje. Marx, Einstein, Freud nie odpowiadają mu, to tylko ogniwa w kulturze europejskiej, ale Ortwin, Nossig i Hiller owszem. A dlaczego? Dlatego, że na takim tle wyróżnia się „genialność" Irzykowskiego, dlatego że ON im zawdzięcza, że JEMU dali, że się na NIM poznali. Gdyby tak jeszcze Womela był Żydem, mielibyśmy całą parantelę duchową Irzykowskiego, cały klimat jego mądrości i co najważniejsze, mielibyśmy wytłumaczenie całej jego mentalności. Jeśli sądzić po babce, która tak „pięknie" wyrosła, to drożdże były nie najgorsze. I jako wdzięczna dziewczyna, nikogo nie zapomina. Inna rzecz, że trudno zapomnieć, skoro tych mamek duchowych było tak mało. Ale z tego nic nie wynika, Irzykowski zawdzięcza wszystko przede wszystkim samemu sobie. I dlatego z niego taki oryginalny umysł, taki bardzo orrryginalny umysł. Lwów, Lwów, to miasto me. Sześć latek mi było, chodziłem do szkoły. A potem byłem urzędnikiem u c. k. biurze korespondencyjnym, a potem był Hebbel, a potem stałem się wielki. Kto mnie chwalił, kto się na mnie poznał, owszem, to geniusz, wszystko inne to tylko — ogniwa. So siechst du aus — powiedziałby w tym miejscu Niemiec.

RYCERZ KONIUNKTURY

Opowiadano mi, że Irzykowski nie odczytuje sam swoich referatów. Sprowadza ze sobą aktora i ten spełnia wdzięczną rolę płyty gramofonowej. Nosił wilk, ponieśli i wilka. Z kolei i sam Irzykowski dał się nabrać na płytę. Jest teraz w obiegu taka płyta, którą się przesyła co najświatlejszym umysłom do nagrania. Jak dotychczas mało kto odmówił. Irzykowski wziął się do roboty nawet dość skwapliwie i, trzeba przyznać, wywiązał się ze swego zadania znakomicie. Sam zagrał pierwszorzędnie i oto teraz patronuje sabatowi antysemitów. Dość prosta była ta droga, co zaprowadziła go do miłego proga. Zaczęło się jako heretyk dla przekory, a skończyło się jako adiutant Hulewicza. Tułał się po brukowcach, tulił do „Prosto z mostu" tu lał, tam lał ciepłą deszczówkę zrzędzeń, wreszcie zeszedł na dziady, skiwskie i łaszowskie. Szczęść Boże w nowym dobranym gronie. Przypuszczam, że stary śledziennik będzie się tu czuł znakomicie, bo jak dotychczas odrabia swój referat doskonale. Ciska oskarżenia, feruje wyroki, potępia w czambuł, insynuuje, upraszcza trywialnie, miesza rzeczy ważkie z drugorzędnymi, umniejsza w inkwizytorskim zapale znaczenie literatury w Polsce odrodzonej, jednym słowem, postępuje sobie jak najmłodszy z młodych narodowców. Jak widzimy, zastrzyk antysemicki robi lepiej niż operacja steinachowska.

Ale bihme, nie gniewało mnie to, że się Irzykowski zmienił. Trudno, tempora mutantur et nos mutamur in illis. Ani to, że się wyrzekł całej swej przeszłości, że się wycofuje na całej linii, że nie honoruje weksli wystawionych za młodu. Ani to, że tak bez zająknienia, z rozwianym sztandarem przemaszerował do obozu faszystowskiej reakcji, że zerwał za sobą wszystkie mosty — tylko nie „Prosto z mostu", że się wyrzekł poziomu, a nie wyrzekł „Pionu". Od tego do chuligaństwa jeszcze droga daleka. Chuligaństwem jest u Irzykowskiego to, że jak się sam przyznaje czekał ze swoim antysemickim wystąpieniem całe pięć lat, że z atakiem na Grydzewskiego i Słonimskiego wyruszył dopiero wtedy, gdy się na nich rzuciła cała sfora kundli z falangowej psiarni, że nadaje swemu wystąpieniu pozory samooskarżenia, że całą swą nadbudówkę antysemicką wystawił na kruchych fundamentach urazy do „Wiadomości Literackich". I dla tych trzech grzechów pana Karola i dla czterech nie nawrócę go: przeto, że go zwiodły bałwany, za którymi chodzą synkowie marnotrawni wielkich ojców.

TARTUFFE W ROLI MISJONARZA.

Irzykowski nie byłby sobą, gdyby poprzestał na analizie, na piorunowaniu i zrzędzeniu. Nie, on poczuwa się także do obowiązku znalezienia lekarstwa na żydowską chorobę. Jakże by mogło być inaczej! Kto by nie znalazł, ale on zawsze znajdzie. I to koniecznie coś orrrryginalnego. Jeśli rada nawet psu na buty zda się, zawsze zostanie nowe powiedzonko, copyright by Irzykowski, przy którym „twórca" skromnie, z oczyma spuszczonymi będzie się za każdym razem powoływał na prawa autorskie. On p i e r w s z y.

A jak wspaniale nauczył się Irzykowski w szkole oenerowskiej rozcinać węzły gordyjskie jednym machnięciem miecza! A jakże! W jednym zdaniu: „Żydzi rozmyślnie zmarnowali syjonizm" gruchocze kości Palestynie i zaraz w drugim zdaniu mamy rozwiązanie: „Uznać Chrystusa jako Mesjasza, a potem rozpłynąć się". Hic Rhodos, hic salta. Co za boskie perspektywy! Jaka szkoda, że tego sloganu nie znano na ostatnim kongresie. Byliby sobie Żydzi zaoszczędzili tyle kłopotów i łamania głowy nad tym, czy dać afirmatywę czy rzucić negatywę. Jakże to proste i genialne w swojej prostocie, to co Irzykowski radzi. I jakie łatwe do przeprowadzenia. Uchwalić deklarację i kwestia żydowska rozwiązana. Nie na darmo uwielbiałem niegdyś Irzykowskiego. Cóż z tego, kiedy mam pewne wątpliwości. Broń Boże nie co do skuteczności rady Irzykowskiego, skądże, tylko co do orrrryginalności. Coś mi się ostatnio Irzykowski zanadto kręci koło arcykatolickiego „Verbum", a tam zasiada pionowy katolik i „Pionowy" pisarz, braciszek Rafał Blüth. Czy ten nowoczesny Wallenrod nie szepnął czegoś na ucho panu Karolowi podczas teologicznych dysput. Czyżby krąg żydowskich wierzycieli Irzykowskiego nie był jeszcze zamknięty. A może to już koniec, ostatnie wcielenie Żyda, wiecznego tułacza. Zaczęło się na Rafale B. i skończyło na Rafale B. Pierwszy to Buber, który pomógł Brzozowskiemu, i za to go Irzykowski pokochał. Drugi to Blüth, który pomógł Irzykowskiemu skompromitować się na amen i za to my go pokochamy.

Wanda Kragen

Człowiek z nieprawdziwego zdarzenia

Dokoła każdego człowieka wytwarza się swoisty krąg istnienia, mniej lub więcej ciasny, mniej lub więcej rozpięty, zakreślony warunkami i środowiskiem, w jakie rzucił go los czy urodzenie. Życie ludzkie przebiega w tym kręgu, najczęściej zamkniętym i jedynie niewieloma punktami stykającym się z tym wszystkim, co jest poza nim. Są oczywiście jednostki, które się wyłamują z orbity swego istnienia — urodzeni awanturnicy zdobywcy, eksploatatorzy — jednostki, którym nie wystarcza zasiedziałość i codzienność bytowania, które ją rozsadzają i linią błyskotliwego pochodu przemierzają świat. To jednak nie przesądza, że ogromna większość ludzi żyje jakby poza cieniami: dokoła nich zmierzchają ciemności, tające losy innych, zapadają głębie, kryjące nieznane egzystencje, istnieją olbrzymie obszary nieznanego życia i spraw.

Prawdopodobnie na skutek tego właśnie zamknięcia i odgrodzenia drzemie w każdym z nas namiętna ciekawość życia, którego nie znamy, ludzi, z którymi się nigdy nie zetkniemy, spraw, które toczą się zdala od nas, poza obrębem naszego pola działania. Niekiedy czujemy wręcz bolesny ucisk serca na myśl, jaki ogrom spraw, zdarzeń, poczynań i doznań przepada dla nas w tajemniczym mroku, skąd nigdy nie wychyną na światło dzienne. Są takie chwile, kiedy chciałoby się biec gdzieś, dokądś, poza normalny szlak, na obce trakty i goścince, wejść przez obce drzwi do obcych mieszkań, popatrzeć, jak żyją ludzie tu i tam — i ci i jeszcze inni, ludzie nieznani, ludzie z nieprawdziwego nieraz zdarzenia.

Jeśli więc zjawi się ktoś, kto sam przychodząc z nieznanego świata, potrafi rozewrzeć wrota wiodące w obcość, kto potrafi ukazać i odtworzyć szmat życia — nie intuicją pisarza i artysty, lecz przynależnością do pewnej sfery — jeśli w dodatku uczyni to w sposób przekonywujący i z talentem, człowiek z zaściany zazna swoistego olśnienia. Oto stał się bogatszy o doznania, zwykle niedostępne, poszerzył swoje życie o życie środowiska, które normalnym biegiem rzeczy pozostaje odeń hermetycznie odgraniczone.

Taki snop światła w nieprzejrzaną ciemność rzucił swoją książką Sergiusz Piasecki*) — i książka stała się sensacją. W mrokach, ścielących się dokoła wąziutkiej ścieżki, po której stąpamy, uczynił swoją autobiograficzną opowieścią wyłom. Niby błysk reflektora wydobyła ona z dookolnej nocy fakty i zdarzenia, rzeczywiste i autentyczne, które istnieją i mają miejsce gdzieś bardzo daleko od nas, o których wiemy jedynie, że s ą, ale nic ponadto. Książka jego jest d o k u m e n t e m pewnej strefy zjawisk, żywym opisem pewnego rzemiosła, historią życia pewnych ludzi na danym odcinku. Dlatego, podobnie jak „Zaklęte rewiry" Worcela — aczkolwiek obie tematycznie zacieśnione i ograniczone do jednej jedynej sprawy — jest sensacją w najlepszym tego słowa znaczeniu. Sensacją i odkryciem.

W opowieści Piaseckiego urzeka czytelnika przede wszystkim zupełnie nieznany i dzięki temu pociągający wycinek życia. Piasecki, żołnierz, potem przemytnik a na ostatku korsarz i postrach granicy, uchyla „welon mroku" z tajemnego życia pogranicza, pokazuje jego odrębne, mocne pulsowanie, jego ludzi i nieczyste sprawy, dziejące się pod osłoną mroków, na leśnych płajach i polnych bezdrożach, wśród bezkresu nocy i ciemności. Obnaża kulisy spraw niedozwolonych i noszących znamiona występku: przemysłu z Polski do Sowietów i z Sowietów do Polski, rysuje ludzi oddanych temu rzemiosłu całą duszą, natury nieokiełzane i bez hamulców, o niefrasobliwym stosunku do życia i użycia, natury gorące, często szlachetne i tylko wykolejone, często o nieprzeciętnej inteligencji i dobroci serca, traktujące swój zawód jak każdy inny.

Pamiętnik tego przemytnika i więźnia świętokrzyskiego, zwolnionego aktem łaski przed upływem kary, jest dziełem żywiołowej erupcji talentu. Gorącą lawą wspomnień przemierza Piasecki minione lata, właściwie lat parę, spędzonych na granicy — od pierwszej wyprawy w partii przemytników, po ostatnie miesiące i dni, kiedy zupełnie osamotniony po śmierci i rozsypce towarzyszy błąka się niby wilk po leśnych ostępach i z zemsty rozbija partie niedoświadczonych „słoni" (dzikich przemytników). Naprzód uprawia ten proceder dla zarobku, potem bogaci się i o pieniędze nie dba wcale, ma ich bez liku, sam nie wie ile, gardzi nimi. Gna go jakiś drapieżny instynkt walki i boju, głucha, przemożna tęsknota za szerokim oddechem wolności, kusi groza i niebezpieczeństwo, czyhające na każdym kroku, za każdym krzakiem.

Autor nie w więzieniu dopiero, nie przy pisaniu pamiętnika stał się poetą. Był nim zawsze — nie w znaczeniu władania sztuką poetycką, lecz w znaczeniu istotniejszym i bardziej dogłębnym: oto ten przemytnik, od stóp głów uzbrojony i gotów każdej chwili na śmierć własną i zadanie śmierci drugiemu, chłonie świat lirycznym spojrzeniem i odczuwa porywające piękno przyrody; na swych nocnych wyprawach i podchodach, w drodze pełnej zasadzek i groźby, rozbrzmiewającej hukiem strzałów, widzi mrugające konstelacje gwiezdne, które jarzą się wysoko pod stropem. Gwiazdy były mu

(Dokończenie na str. 8-ej)

*) Sergiusz Piasecki: Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy. Warszawa, Rój 1937.

STER MŁODYCH

POŚWIĘCONY SPRAWOM STARSZEJ MŁODZIEŻY

Pod redakcją N. JACOBIEGO

Nr. 1

Adres dla korespondencji: Redakcja „STERU MŁODYCH", Warszawa, Królewska 29a.

NA START

Do Czytelników „Steru Młodych"

Wychodzi obecnie niezliczona ilość wszelkiego rodzaju gazet, tygodników, periodyków. Każdy niemal dzień rodzi nowe pismo, coraz to nowa grupa ludzi, mających coś do powiedzenia — przystępuje do publicznego formułowania swego światopoglądu.

Czytelnik zasypywany jest ciągle rosnącymi stosami drukowanego papieru, gubi się w powodzi haseł, programów, dążeń. Traci zufanie do powagi i znaczenia prasy — często w ogóle przestaje ją uznawać.

Dlaczego więc właśnie teraz otwieramy nowy dział w naszym piśmie, dlaczego teraz w ramach „STERU" tworzymy oddzielny dział „STER MŁODYCH"?

Bo w stale rosnącej powodzi prasy wszelkiego rodzaju nie ma ani jednego poważnego ideowo potraktowanego PISMA MŁODZIEŻY; bo MŁODY CZYTELNIK w większym jeszcze stopniu niż starszy pragnie zbudować sobie własną, dostępną dla wszystkich TRYBUNĘ, z której mógłby sam przemawiać i głosów rówieśników wysłuchiwać; bo wreszcie MŁODY CZYTELNIK ŻYDOWSKI szczególnie w dzisiejszych burzliwych dla naszego narodu, czasach, kiedy każda niemal doba stanowi epokę, pragnie znaleźć możliwość swobodnego wypowiedzenia swych radości i smutków, które przynosi dzień powszedni, ciężki, gorzki dzień narodu w rozproszeniu.

Takiego tygodnika młodzieży żydowskiej nie ma. Pragniemy go stworzyć. Pragniemy otworzyć nasze łamy dla młodych piór, dla młodych serc i dusz; pragniemy zbudować na nich drogowskaz dla tysięcy czytelników — pismo młodzieży i dla młodzieży żydowskiej, własne, nasze pismo, w którym mielibyśmy swobodę wypowiedzenia się, wykazania, że chcemy być świadomymi budowniczymi naszej żydowskiej teraźniejszości i przyszłości.

Oto nasza droga i oto nasz program. Nie zakreślamy temu programowi twardych, sztywnych ram. Życie rozsadza wszelkie z góry wyznaczone łożyska. Oddajemy w ręce Młodego Czytelnika nie gotowe dzieło, lecz możliwość stworzenia go. Od Czytelnika tylko zależy czy i jakim ono będzie.

Chcemy widzieć na łamach naszych nazwiska wszystkich młodych, którzy mają coś do powiedzenia. Chcemy wraz z nimi współpracować i na tę współpracę pojętą najserdeczniej, najszczerzej, najprawdziwiej — czekamy.

Wierzymy, że apel nasz znajdzie rozgłośne echo, że stworzymy wokół naszego pisma wielką Rodzinę Czytelników — współpracowników, redaktorów własnej trybuny.

W obliczu doniosłych wydarzeń, jakie przeżywa dziś całe Żydostwo, a wraz z nim jego młodzież — tak pojęte pismo stało się palącą koniecznością.

W tym przekonaniu przystępujemy do pracy.

Młodzi, na start!

REDAKCJA „STERU MŁODYCH"

Historia magistra vitae est...

(na marginesie zajść antyżydowskich w Szkole Wawelberga)

DEMONSTRACJE W SZKOLE WAWELBERGA.

„W czasie wykładu prof. Zakrzewskiego na II roku w szkole Wawelberga doszło do zajść antyżydowskich. Studenci-chrześcijanie zażądali, by Żydzi usiedli po lewej stronie. Prof. Zakrzewski wezwał studentów, by nie urządzali awantur. Ponieważ Żydzi nie chcieli się przesiąść, studenci-chrześcijanie demonstracyjnie opuścili salę. Prof. Zakrzewski, który pozostał na sali z 8 Żydami-studentami, przerwał wykład. Żydzi wyszli i wówczas wrócili studenci-chrześcijanie. Po chwili weszli też Żydzi, którzy przez cały czas wykładu stali."

(„Wieczór Warszawski" z dn. 30.IX.37)

Rok 1919. Pachniało wiosną i traktatem wersalskim. W Warszawie istniała wówczas dobrze znana i powszechnie szanowana „SZKOŁA MECHANICZNO - TECHNICZNA H. WAWELBERGA i S. ROTWANDA".

Do stolicy przyjechali z Rosji dwaj uciekinierzy, bracia Michał i Wacław Wawelbergowie, synowie wielkiego fundatora wspomnianej uczelni. Ministerstwo Oświaty pragnie upaństwowić Szkołę Wawelberga, jedyną w swoim rodzaju uczelnię techniczną o wyższym poziomie. Władze państwowe szkolne prowadzą pertraktacje ze spadkobiercami zmarłego fundatora Hipolita Wawelberga, który wespół ze Stanisławem Rotwandem założyli w Warszawie Szkołę Techniczną.

Rokowania braci Wawelbergów z Ministerstwem Oświaty poprzedziły konferencje z wówczas istniejącym „Kołem Wawelberczyków - Żydów".

Piszący te słowa brał udział w delegacji u braci Wawelbergów. Działo się to (dokładnie datę pamiętam!) 29 kwietnia 1919 roku. Pp. Michał i Wacław Wawelbergowie przyjęli nas w pałacu Poznańskich w Alejach Ujazdowskich. Podczas dwugodzinnej przeszło konferencji spadkobiercy szlachetnego fundatora poruszyli całokształt zagadnienia upaństwowienia szkoły.

Między innymi zapytali obecnych przedstawicieli Studentów - Żydów o stosunek studentów - chrześcijan do kolegów Żydów. — „Bo proszę panów — powiedział pan Michał Wawelberg — jeżeli się okaże, że w szkolę, którą założył mój Ojciec, krzywdzi się Żydów, to ja nie zgodzę się na jej upaństwowienie".

Delegaci żydowskich studentów oświadczyli, że jak dotychczas, żadna krzywda nikomu się nie stała. Wszyscy koledzy bez różnicy wyznania i narodowości żyją w wielkiej zgodzie ze sobą. Stosunek profesorów do słuchaczy - Żydów nie pozostawia nic do życzenia.

Słowem, słuchacze - Żydzi prosili spadkobierców, aby zechcieli przyczynić się do upaństwowienia tej tak pożytecznej placówki, która wydała w Polsce tylu dzielnych i wykwalifikowanych techników.

Niech Odrodzona Polska obok Politechniki ma własną Państwową Szkołę Budowy Maszyn i Elektrotechniki.

I stało się. Bracia Wawelbergowie usłuchali słów delegacji słuchaczów-Żydów. Na jesieni 1919 roku dawna „Szkoła Mechaniczno - Techniczna" zamieniła się w „Państwową Szkołę Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i Rotwanda."

Zrobili to dla MŁODEJ POLSKI powstającej do nowego życia.

Ale zacni spadkobiercy zastrzegli się w umowie, że nie dopuszczą nigdy, aby Żydzi - słuchacze nowej uczelni upaństwowionej byli kiedykolwiek szykanowani za swoje wyznanie i narodowość.

W 18 lat później pięknie odwdzięczono się szlachetnym fundatorom. Żydom kazano zająć ławki po lewej stronie.

Zapomniano KTO TE ŁAWKI UFUNDOWAŁ.

Młodzi „patrioci" nie znają zapewne dziejów swej uczelni.

„Monografię Szkoły Mechaniczno-Technicznej H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie. Rok 1895—1907" mogliby z łatwością otrzymać w bibliotece szkolnej. Może wtedy odezwałby się w nich wstyd.

A panu profesorowi Zakrzewskiemu przypominamy starą zasadę: „TRES FACIUNT COLLEGIUM", a więc gdy było 8 słuchaczów-Żydów na sali, można było prowadzić wykład dalej.

Gdy DWAJ(!) zaledwie Żydzi budowali Szkołę, nikt im nie zarzucał, że jest ich za mało...

No, i wreszcie dla naszych filantropów i mecenasów bojkotujących żydowskie instytucje społeczne, płynie z tej historii nauka nielada...

Stary Wawelberczyk.

MYŚLI WYBRANE

„Prawo bez siły jest niemocą—
—Siła bez prawa jest gwałtem"

JÓZEF PIŁSUDSKI

Czytajcie
i rozpowszechniajcie

STER MŁODYCH

pismo młodzieży żydowskiej

Przedstawienia teatralne dla młodzieży szkolnej

W bieżącym roku szkolnym Kuratorium Warszawskie w porozumieniu z Zarządem Teatrów Towarzystwa Krzewienia Kultury Teatralnej w Polsce organizuje przedstawienia teatralne dla młodzieży szkolnej na zasadach następujących:

1.

Abonamentowe przedstawienia teatralne będą się odbywały w teatrach Polskim i Narodowym w soboty i dni przedświąteczne, a nadto w miarę potrzeby 1—2 razy dla każdej grupy w środy lub czwartki o godz. 16.

Przedstawienia rozpoczną się w sobotę 16 października r. b. i będą trwały do maja 1938 roku. W okresie feryj zimowych i wielkanocnych przedstawień abonamentowych nie będzie.

2.

W bieżącym roku szkolnym został ustalony osobny repertuar dla młodzieży gimnazjalnej, obejmujący 5 sztuk, i osobny dla liceum, obejmujący 7 sztuk. Z tego wynika, iż młodzież gimnazjalna i licealna danej szkoły będzie obecna na przedstawieniach w różnym czasie

3.

Zamierzone repertuary teatralne są następujące:

Dla gimnazjów (abonament biały „A").

1. **„Gałązka rozmarynu" Nowakowskiego w teatrze Polskim.**
2. **„Balladyna" Słowackiego w teatrze Polskim.**
3. **„Dożywocie" Fredry w teatrze Narodowym.**
4. **„Bolesław Śmiały" Wyspiańskiego w teatrze Narodowym.**
5. **Sztuka współczesna w teatrze Narodowym.**

Dla liceuów (abonament pomarańczowy „B").

1. **„Cezar i człowiek" Nowaczyńskiego w teatrze Polskim.**
2. **„Gałązka rozmarynu" Nowakowskiego w teatrze Polskim.**
3. **„Balladyna" Słowackiego w teatrze Polskim.**
4. **„Hamlet" Szekspira w teatrze Polskim.**
5. **„Życie snem" Calderona w teatrze Narodowym.**
6. **„Bolesław Śmiały" Wyspiańskiego w teatrze Narodowym.**
7. **Sztuka współczesna — w teatrze Narodowym.**

*

Abonament biały przeznaczony został w zasadzie dla klas III i IV gimnazjów i odpowiednich klas (kursów) szkół zawodowych, abonament pomarańczowy dla klasy I liceum i klasy VIII gimnazjum dawnego ustroju oraz dla odpowiednich klas (kursów) szkół zawodowych.

Młodzież klas I i II szkół średnich będzie mogła korzystać z przedstawień pozaabonamentowych, które Kuratorium zamierza organizować w Teatrze Letnim.

*

Abonament „A" (biały) — gimnazjalny kosztuje 4 zł. 50 gr., abonament „B" (pomarańczowy) licealny — 6 zł. 30 gr. Ceny łącznie z opłatą za szatnię.

*

Z przedstawień abonamentowych może korzystać jedynie młodzież szkolna z wyłączeniem jej rodzin.

HERE ENGLISH SPOKEN

Lekcja wstępna

Język angielski należy do grupy języków germańskich, ale uległ on wpływom celtyckiego, greckiego, łaciny i od niej pochodnych języków. Ponad to, przez rozszerzenie stosunków z wieloma krajami, przedostawały si ędo języka angielskiego różne wyrazy języków tych krajów.

Język staro-angielski (Old English) miał odmianę końcówek w rodzaju, liczbie i przypadku, był fonetyczny, t. j. tak się wymawiało jak pisało, o ile na to pozwalał alfabet.

Początkiem każdego języka jest jego a l f a b e t.

W żadnym języku alfabet nie odgrywa takiej roli jak w języku angielskim. Kto nie zna nazw 26 liter angielskich, ten nigdy nie będzie mógł podać prawidłowo swego nazwiska, miasta, kraju i t. d.

Niejednemu z naszych Czytelników może wydarzyć się podobna przygoda, jak panu Lewowi, któremu życzliwy kolega przed odjazdem do Londynu powiedział, że tam każdy nazywać go będzie L i u (Lew). Poczciwy L e w dla oszczędzenia Anglikom trudu napisał od razu L i u. Naturalnie Anglicy wymawiali to L a i u. Wobec tego Mr. Lew zaczął podpisywać się L a i u.

Niezmiernie zdziwił się jednak, gdy usłyszał czwartą wersję swego nazwiska: L e i u. Wtedy poszedł za naszą radą, którą my tu dajemy każdemu, mającemu z Anglikami do czynienia, mianowicie nauczył się „sylabizować" (podług liter) swoje nazwisko.

Jakkolwiek nazwy poszczególnych 26 liter angielskich nie są miarodajne dla wymowy ,musimy znać je wszystkie:

A wymawia się — ej
B — bi
C — si
D — di
E — i
F — ef (jak po polsku)
G — dżi
H — ejcz
I — aj
J — dżej
K — kej
L — el (jak po polsku)
M — em (jak po polsku)
N — en (jak po polsku)
O — ou
P — pi
Ç — kju
R — ar
S — es (jak po polsku)
T — ti
U — ju
V — wi
W — dablju
X — eks
Y — uaj
Z — zed

Tak więc pan Lew powinien byl podyktować swoje nazwisko w następujący sposób:

EL — I — DABLJU,

a wówczas Anglik napisałby prawidłowo „Lew".

F. SANDBANK

E L L Y

ROZDZIAŁ I.

Skończyła się pogadanka. Młodzież dyskutując między sobą wstała od stołu. Gwar i śmiech rozbrzmiewał w lokalu. Elly, nakładając swą uczniowską czapkę, patrzyła z uśmiechem na twarze znane i miłe. Z przyjemnością przyglądała się lokalowi. Był jasny, duży, a ze ścian patrzyli ojcowie syjonizmu. Na wprost Herzl poważnie i smętnie, dalej A. D. Gordon, kochany dziadzio, o dobrych oczach dziecka, Trumpeldor, śmiało, uśmiechnięty. Jacy oni swoi — myślała Elly.

Nagle drgnęła. Ktoś dotknął jej ramienia i miła twarz Dowa pochyliła się nad nią.

— Zagapiłaś się?... Chciałem cię zapytać, czy byś nie mogła dziś zastąpić Heńka w pogadance z kwucą?

— Nie mogę. Do prawdy przykro mi, ale muszę być wcześnie w domu — uspawiedliwiała się zarumieniona i wyraźnie zmieszana. — Szalom! — Opuściła organizację i idąc ulicą Słowackiego pomyślała sobie, że przecież skłamała. Ale musiała odmówić. Jest już 8-ma, a Lunek napewno czeka. Jaki ten Lunek inny od wszystkich, których w tej chwili opuściła. Ach, gdyby on zechciał zrozumieć, tak prostą, oczywistą prawdę, że Żyd powinien być Żydem! Ona mu to musi wytłumaczyć. Przecież muszą mieć te same dążenia. A tymczasem? Nie tylko, że jego nie umie przekonać, ale i sama zaniedbuje sprawy organizacyjne. Na przykład teraz. Odmówiła, i kwuca pójdzie do domu, bo Heniek chory. To po prostu markierowanie!...

Przerwała rozmyślanie. Na rogu Franciszkańskiej stoi Lunek. Śliczny jest — przychodzi jej nagle na myśl. Wita się z nim.

— Dzisiaj znowu jesteś smutna! Znowu przychodzisz z tego hałaśliwego lokalu. Do prawdy, powinienem ci zabronić.

— Zabronić? Jakim ty tonem mówisz? Mnie zabronisz...

— Tak. Czyż nie mam prawa? Prawo miłości jest silniejsze od wszystkich innych praw. Nie możemy przecież kroczyć różnymi drogami. Musimy mieć te same cele i dążności.

Tak samo jak ja przed chwilą — myśli szybko Elly — tak samo mówi. Ale na czym polega różnica? On chce bym poszła za jego życiem. pustym życiem asymilatora. Trzeba raz przecież pogodzić się. — Spokojnie zwraca się do niego:

— Słuchaj. Pomówimy dziś poważnie. Widzisz, przed chwilą, idąc do ciebie, myślałam o tym samym. Jesteśmy pomimo wszystko sobie obcy — obcy, gdyż łączy mnie więcej z każdym przeciętnym towarzyszem, niż z tobą. Wspólne myśli, marzenia, czyny. Kocham cię. Mówię o tym zupełnie spokojnie jak mówi 18-letnia dziewczyna, nie znam fałszu. Trudno byłoby mi rozstać się z tobą, ale wiedz, że nigdy nie zgodzę się na porzucenie mych pragnień. Zrosły się one ze mną organicznie. Uśmiechasz się? Ja nie przesadzam. Myślę tak i zdaje się, że nie potrafiłabym być inną. Tak. Ty jesteś jakimś dziwnym szczęśliwcem: pozbawiono cię daru odczuwania. Dla ciebie kwestia narodu żydowskiego jest zupełnie obojętną.

— Ach, naród! To są dziecinne rojenia. Dziś w XX wieku ludzkość uprzytomniła sobie nareszcie, że zamykanie się w ramach narodu jest za ciasne. Jest szkodliwe dla rozwoju cywilizacji i hasłem dzisiejszym powinien być nie obywatel państwa, lecz świata!

— Czekaj... Nie pędź! Tyś zupełnie zapomniał o jednej rzeczy — o rasie. Zapomniałeś, że przepaść tę wytworzyła sama natura i całe wieki kultury są wobec niej bezsilne. Dziś pijesz „braterstwo" z kolegą-akademikiem, jutro rzuci ci w twarz: Żyd parch — świnia! Obelgę — błogosławioną obelgę, która uświadomiła ojca naszego Odrodzenia, że jest Żydem! Czyżbyś ty się aż tak dalece łudził? Obywatel świata? Utopia i mrzonki! A po co? Myślisz, że ci zapomną, żeś Żydem? Nigdy cię nie przyjmą obcy, będziesz trędowatą owcą w ich stadzie. Ale zapomną Żydzi. Dla nich również przestaniesz istnieć. I będziesz niczym. Będziesz się po za ramami społeczeństw błąkał sam bez celu... Nędzne życie!

Elly była śliczna w tym uniesieniu. Policzki jej płonęły, a oczy — żydowskie oczy pałały ogniem. Cóż znaczą jej słowa wobec czaru, jaki z nich tchnie!

(c. d. n.)

J. BLEIBERG

RELIGIA EINSTEINA, BERGSONA i FREUDA

Wstępnym warunkiem rozważań nad problemem religii, niezależnie od tego z jakiego punktu widzenia zamierzamy go oświetlić, jest rozróżnienie dwuch zasadniczych odmian wiary religijnej, dwuch jej podstawowych form, między którymi zachodzą bardzo ważne i istotne różnice. Pierwsza, najbardziej rozpowszechniona, opiera się na objawieniu, dogmatach, obrzędach i wynika z czysto przypadkowego faktu przynależności człowieka do pewnej grupy wyznaniowej, narzucającej mu już w pierwszych dniach życia swoje wyznanie wiary. Druga natomiast jest wytworem indywidualnego ludzkiego przeżycia, żywą prawdą serca, wewnętrznym doświadczeniem, nadającym uczuciu religijnemu oryginalny i swoisty wyraz. Nie można jej z tego właśnie względu jednoznacznie opisać lub określić, przybiera ona bowiem najróżnorodniejsze kształty, zależy od ściśle indywidualnych warunków w przeciwieństwie do religii dogmatycznej, ujmującej wiarę religijną w ustalony schemat obrzędowości i dogmatyki i prowadzącej nieuchronnie do klasycznego w swym rodzaju konfliktu między wiarą a wiedzą, teologią a nauką. O niej też powiedział złośliwie Schopenhauer, że jest „filozofią głupców".

Religia „wewnętrzna" była sztandarowym, bojowym hasłem wszystkich prawie reformatorów religijnych. W imię swej wewnętrznej prawdy, zwalczali oni bezduszny formalizm religijnych obrzędów, egoizm i zachłanność kapłanów, czczy rytualizm, przesłaniający i wypaczający istotną treść uczucia religijnego. Wobec tego jednak, że propagowane przez nich idee przerastały znacznie umysłowy poziom mas, uległy przeto bardzo rychło procesowi dogmatycznego skostnienia, zatraciły swój właściwy „rewolucyjny" sens, wyrodziły się w fanatyzm i czysto zewnętrzne formy kultu. Wiara wewnętrzna „osobista" pozostała wyjątkowym przeżyciem nielicznych wybitnych jednostek, zdobywających sobie intensywnym duchowym wysiłkiem swoją własną religijną prawdę. Filozofowie, uczeni, pisarze i poeci, ludzie zdolni do samodzielnego myślenia i odczuwania tworzą sobie zawsze własne religijne koncepcje, albo też wprowadzają istotne korektury do istniejących już religijnych doktryn, zaznaczając w ten sposób swą inwencję i twórczą oryginalność. I dlatego jest analiza religijności wielkich ludzi ciekawym i ważnym przyczynkiem do ich charakterystyki, cenną sposobnością do uchwycenia istotnych rysów ich duchowego oblicza. Z tego też punktu widzenia zamierzamy omówić poglądy religijne wymienionych wyżej trzech genialnych przedstawicieli naszej epoki: — fizyka, filozofa i psychologa, reprezentujących trzy różne odmiany religijności.

ŚLADEM SPINOZY.

Nie będąc z zawodu humanistą, posiada jednak Einstein własny pogląd na genezę i istotę religii. Jej powstanie tłumaczy biologicznie, jako życiową konieczność, wynikającą z wyjątkowo ciężkich warunków bytowania pierwotnego człowieka, przerażonego ogromem i tajemniczością otaczającej go przyrody. Nie znając jeszcze zasady przyczynowego wyjaśniania zjawisk, przypisuje on wszystko, co zachodzi w naturze, niezbadanej woli potężnych, podobnych do ludzi istot, których się boi i których względy stara się jednać przy pomocy ofiar, zaklęć, różnych magicznych praktyk, wykonywanych z czasem przez umyślnie do tego powołanych wtajemniczonych kapłanów, pośredniczących między wzbudzającymi lęk bogami, demonami, a bezradnym i słabym człowiekiem. To pośredniczenie staje się w następstwie głównym źródłem ich świeckiej władzy. Postępujący rozwój życia społecznego, rozrost organizacji plemiennej i powstawanie większych ludzkich wspólnot, wzbogacają uczucie religijne o nowy składnik: *moralno-społeczny*. Rodzi się tęsknota za nieomylnym, sprawiedliwym sędzią, obrońcą moralnego ładu, troskliwym opiekunem żywych i umarłych, za Bogiem, który byłby wodzem i ojcem, najwyższym prawodawcą, ukojeniem w nieszczęściu, pociechą w rozpaczy. *Religia bojaźni* przekształca się w *religię moralną*. W judaizmie widzi twórca teorii względności piękny przykład takiego rozwoju od religii strachu do religii społeczno-etycznej. Wspólnym rysem obu pierwszych stopni rozwoju wiary religijnej jest *antropomorficzny* charakter Boga, wyobrażanego na wzór i podobieństwo człowieka. W obu przypisuje mu się ludzkie afekty i namiętności (antropopatyzm).

Najwyższą formą uczucia religijnego jest, zdaniem Einsteina, *religijność kosmiczna*, w której, jak to już sama nazwa wskazuje, kosmos — wszechświat podniesiony zostaje do godności Bóstwa. Jest to religia *panteistyczna*, utożsamiająca Bóstwo z naturą — Deus sive Natura — jak to sformułował Spinoza, najgenialniejszy przedstawiciel panteizmu na gruncie europejskim. Psychologicznie religijność kosmiczna objawia się jako poczucie znikomości człowieka, jego celów, namiętności i pożądań, wobec wzniosłości i wieczności wspaniałego misterium natury, manifestującej się w nim praworządności i harmonii. Przedmiotem uczucia religijnego nie jest już więcej *Bóg* osobowy, ale raczej bezosobowe „*Bóstwo*", objawiające się zarówno w rozkwicie ziarna jak i w obrocie ciał niebieskich — w regularności matematycznej myślenia jak i w pozornej nieregularności ludzkich wzruszeń". Religijność kosmiczna nie zna dogmatyki, ani obrzędów i dlatego była zawsze zwalczana przez kościoły wszystkich wyznań. Jej szermierzy i wyznawców uważano za bezbożników i heretyków, obrońców najwznioślejszej religii wyklinano lub palono na stosie. (Spinoza, Giordano Bruno i inni).

Jest ona jedyną odmianą religii, nie wchodzącą w kolizję w postulatami rozumu i wymaganiami naukowego obiektywizmu. Bezinteresowna, praca naukowo-badawcza urasta w niej do wyżyn religijnego nakazu. Leżące bowiem u jej podstawy przeświadczenie o rozumności świata staje się źródłem naukowego entuzjazmu, odkrywczej pasji ludzkiego umysłu, przenikającego w zwycięskim pochodzie wciąż nowe tajemnice świata *i zbliżającego się w ten sposób coraz bardziej do Bóstwa*. W religii kosmicznej dokonuje się *synteza wiedzy i wiary, uczucia i rozumu, gdyż wiedza o świecie jest jednocześnie poznaniem Boga*. „Świętymi" i apostołami kosmicznej religijności są filozofowie i uczeni — jedyni głęboko religijni ludzie naszych zmaterializowanych czasów. „Religijność badacza polega na ekstatycznym podziwie, jaki wywołuje harmonijność i prawidłowość zjawisk przyrody, w których objawia się wyższa mądrość, sprowadzająca wszelkie rozumne myśli i urządzenia ludzkie do poziomu znikomego swego odblasku. Uczucie to, będące przewodnim tematem całego życia i wszystkich dążeń badacza, zbliżone jest w swojej treści do uczucia, które po wszystkie czasy przepajało twórcze religijne natury" (A. Einstein: Mein Weltbild — polski przekład St. Łukomskiego). Najbardziej syntetycznym ujęciem einsteinowskiego wyznania wiary są słowa następujące: „*Połączone z głębokim uczuciem przeświadczenie o wyższym rozumie, objawiającym się w świecie, dostępnym dla naszych doświadczeń, stanowi moje pojęcie Boga: stosując przyjęty sposób wyrażania się, pojęcie to określić można jako panteistyczne (Spinoza)*". (Mój obraz świata o prawdzie naukowej). Tak więc genialny twórca teorii względności stwierdza swoje duchowe pokrewieństwo z wyklętym wychowankiem amsterdamskiego jeszybotu.

PO PROMIENIACH INTUICJI.

Zagadnieniu religii poświęcił Bergson ostatnie swoje oczekiwane od lat kilkunastu dzieło p. t. Les deux sources de la morale et de la religion (dwa źródła moralności i religii), stanowiące szczyt i koronę całej jego dotychczasowej działalności filozoficznej. Bergson zwalcza w nim głoszony przez niektórych socjologów (Durkheima i jego szkoły) pogląd według którego wiara religijna właściwa jest tylko człowiekowi na niższym szczeblu kulturalnego rozwoju. Jego zdaniem ona jest biologiczną funkcją, życiową koniecznością: człowiek musi wierzyć, ponieważ leży to w jego naturze.

Odróżnia on dwa rodzaje religii: *statyczną i dynamiczną*. Pierwsza pełni głównie rolę społeczną, reguluje stosunki między ludźmi, stoi na straży zdrowia moralnego zbiorowości, łagodzi ujemne skutki ludzkiego egoizmu przy pomocy nakazów i zakazów, operuje groźbą i karą, posiada więc czysto *utylitarny i racjonalistyczny* charakter. Ta jej funkcja społeczna wprowadza do niej cały szereg historycznych akcesoriów, zmusza ją do rozmaitych ustępstw na rzecz warunków i stosunków, które pragnie ukształtować. Jej też wyłącznie dotyczyć mogą ujemne oceny religii, poza którymi znajduje się religia *dynamiczna*, wypływająca z *uczucia* i będąca tworem religijnych geniuszów, którzy po promieniach swej intuicji doszli do prawdziwej, bezinteresownej wiedzy o bóstwie. Takimi religijnymi geniuszami byli, według Bergsona, średniowieczni, chrześcijańscy mistycy, propagujący religię „wewnętrznego objawienia", wolną od wszelkich rozumowych i naukowych pierwiastków. Bardzo ostro występuje autor „Ewolucji twórczej" przeciwko psychologom, uważającym przeżycia ekstatyczne mistyków za stany patologiczne i przeciwstawia się wogóle ich czysto psychologicznej interpretacji. Nie są one dla niego subiektywnymi tylko stanami ducha, lecz obiektywną prawdą, gdyż w nich istotnie objawia się Bóg.

W religii dynamicznej Bergsona, jak w panteizmie Einsteina, Bóg nie jest pozaświatową istotą, lecz twórczą siłą, działającą we wszechświecie, odwiecznym rytmem bytu, źródłem zachodzących w nim zjawisk. W przeciwieństwie jednak do Einsteina, który podkreśla głównie harmonijność i prawidłowość Natury, stałość rządzących nią praw, Bergson akcentuje silniej jej element *dynamiczny*, zachodzące w niej wciąż przemiany, nieustanne tworzenie nowych form, przenikający świat życiowy rozmach (élan vita). W swym pojęciu Boga posuwa się twórca nowoczesnego intuicjonizmu dalej od genialnego fizyka. Przypisuje bowiem Istocie Najwyższej także cechę miłości, stanowiącej jej najistotniejszy, prawdziwie boski atrybut (Dieu est amour — Bóg jest miłością). Pozostaje to oczywiście w związku z *iracjonalno-mistycznym* nastawieniem Bergsona, odcinającem się wyraźnie od *naukowo-badawczej* postawy Einsteina. Ta też różnica wyjaśnia nam dlaczego apostołem religii Einsteina jest uczony, szermierzem wiary Bergsona — mistyk.

RELIGIA BEZ BOGA.

Na pierwszy rzut oka zdawać by się mogło, że Freud jako psycholog, wykazać winien jak największe wyrozumienie i zrozumienie dla religii, jako wewnętrznej potrzeby człowieka. Tymczasem jest wręcz przeciwnie: twórca psychoanalizy jest zdecydowanym i bezwzględnym przeciwnikiem religii, we wszystkich jej postaciach i odmianach. Swój pogląd na genezę, istotę i przyszłość religii sformułował w jednej z ostatnich swoich prac, zatytułowanej „Die Zukunft einer Illusion" (Przyszłość złudzenia). Dowodzi on w niej, że religia, zrodzona z lęku i niemocy człowieka pierwotnego wobec nieobliczalnych sił przyrody, nie była rezultatem procesu psychicznego, rozszerzającego zakres jego życiowego doświadczenia, *lecz aktualizacją drzemiących w podświadomości pierwiastków dziecięcego nastawienia wobec świata, była zatym objawem infantylnym*. Strach człowieka niecywilizowanego przed Naturą, identyczny jest ze strachem bezsilnego i bezradnego dziecka. W swej naiwności i niewiedzy szukał on pomocy i opieki u stworzonych przez siebie niewidzialnych bóstw, tak jak w wieku dziecięcym chronił się pod opiekuńcze skrzydła rodziców. Dlatego też ujmuje swój stosunek do Boga w kategoriach „rodzinnych". Tworzy idee Boga-Ojca, Syna bożego, narodu wybranego i t. p. Wiara religijna jest stanem *patologicznym*, rezultatem niedorozwoju człowieka, wykazującego w wieku dojrzałym cechy psychiczne dziecka.

Podkreślając historyczną konieczność powstania religii, a nawet dobroczynne jej oddziaływanie w pewnym okresie dziejów ludzkości, sądzi jednak Freud, iż dalsze jej pielęgnowanie jest, przy dzisiejszym stanie nauki, uleganiem dziecinnemu złudzeniu, kultem szkodliwej fikcji, a narzucanie jej współczesnemu człowiekowi niebezpieczną próbą cofnięcia go do okresu jego kulturalnego niemowlęctwa. *Die Welt ist keine Kinderstube* — woła twórca psychoanalizy w swej wolnomyślicielskiej pasji. Powołuje się przytem na cały szereg historycznych faktów, wskazujących na to, iż religia, która była do pewnego czasu surogatem wiedzy o świecie, stała się później ostoją niewiedzy — asylum ignorantiae — czynnikiem, krępującym twórczy rozmach ducha ludzkiego. Wybitnie negatywnie ocenia on również tak wysoko przez Bergsona stawianą mistykę. Mistyków uważa za ludzi chorych, za religijnych maniaków i paranoików. Potępia też filozofię idealistyczną, opartą na spekulacji o duchu i wszelkie wogóle nienaukowe, nieempiryczne podejście do zagadnień rzeczywistości. Gdy Romain Roland poddał w swym liście do Freuda krytyce jego pogląd „patologizujący" uczucie religijne, będące zdaniem francuskiego pisarza, w czystej swej postaci poczuciem związku człowieka z nieskończonością, świadomością jego pokrewieństwa z wszechbytem, Freud odpowiedział, że są to dla niego mętne pojęcia, którymi w badaniach naukowych operować nie można.

W przeciwieństwie do Bergsona, Freud nie uważa religii za specyficznie ludzką cechę. Człowiek nie musi, jego zdaniem, wierzyć w Boga. Wiara religijna jest zjawiskiem czysto *historycznym*. Gdy znikną przyczyny, które ją jeszcze utrzymują przy życiu, ustąpi i ona z areny dziejów. Jej trwanie, mimo wspaniałego rozwoju nauk, tłumaczy autor „Totem i Tabu" sugestią wiekowej tradycji, wpływem tkwiących w nas jeszcze złudnych metafizycznych nadziei, nieśmiertelności duszy, życia pozagrobowego i t. d. Freud ma jednak to głębokie przeświadczenie, że postępujący wciąż naprzód podbój świata przez naukę wyzwoli ludzkość z psychicznego i myślowego dziedzictwa pierwszych szczebli jej rozwoju i usunie na zawsze szkodliwy religiotwórczy kompleks. *Prawdziwie dojrzała i cywilizowana ludzkość przyszłości będzie ateistyczna*. Ale i twórca psychoanalizy ma swoją religię. Uprościwszy sobie w dużej mierze skomplikowany psychologiczny problem wiary, *wierzy z prawdziwie religijnym entuzjazmem, niezachwianie i dogmatycznie w rychły zgon religii i w ostateczne „poznawcze" zwycięstwo ludzkiego umysłu, w potęgę ludzkiej myśli, która rozwiąże ostatecznie metafizyczne równanie bytu, odnajdzie jego, poszukiwaną od wieków, niewiadomą*.

Przedstawiliśmy w dużym skrócie koncepcje religijne trzech wybitnych przedstawicieli naszej epoki, kroczących różnymi zgoła drogami. Najgenialniejszy współczesny fizyk nawiązuje do Spinozy, najwybitniejszy współczesny filozof wskrzesza idee średniowiecznych mistyków, odkrywca zaś podświadomości i twórca psychologii głębi kontynuuje ateistyczno - wolnomyślicielskie tradycje francuskich materialistów 18 stulecia. Kto z nich jest właściwym wyrazicielem ducha naukowego naszych czasów? Wydaje nam się, iż miano to przypadło by Einsteinowi, przedstawicielowi najwspanialej dziś rozwijającej się nauki, której rewelacyjne odkrycia wywrą rozstrzygający wpływ na ukształtowanie się nowego obrazu świata i związanego z nim światopoglądu współczesnego człowieka.

MIECZYSŁAW BRAUN

POTOP

Deski chropawe i wonne żywicznie
Z jasnej topoli z wierzby płaczącej,
Z dębów szumiących dumnie i tragicznie,
Z buku i klonu i osiny drżącej,
I z drzew wszelkiego wieku i rodzaju,
Z borów prastarych, z młodziutkiego gaju
Wąską ścieżyną i drogą samotną
Poprzez granice, strumienie i śniegi
Dźwigałem długo, zanim nad te brzegi
Przyniosłem skarbów moich moc stokrotną.

Pod niewiadomym działając rozkazem,
Kłody i deski umacniam żelazem,
Śrubą i gwoździem i kolcem mosiężnym,
Żeby uczynić trwałym i potężnym
Dom, który stropy kopułą wymierza.
Wprowadzam rodzaj wszelakiego zwierza:
Lwy i szakale i owce łagodne,
Łanie, koźlęta, psy i wilki głodne,
Konie cierpliwe, tury i wielbłądy,
Zwierzęta, które znają wszystkie lądy,
Ptactwo pierzaste, powietrzne kapele,
Orle milczenie i słowicze trele,
Mewy obloczne, schwytane nad głębią,
I czułą parę kochanków gołębią,
Siatką napędzam stubarwne motyle,
Co żywot mają nie dłuższy, niż chwile.

Ci, którzy patrzą, a jednak nie widzą,
Którzy słuchają, a jednak nie słyszą,
Podchodzą do mnie pytają i szydzą,
Dwuznacznie palcem po swych czołach piszą,
Mówiąc: „do czego twe dzieło ma służyć?
Wprawdzie budować lepiej, niźli burzyć,
Ale twój statek pijany, podniebny,
Ludziom zupełnie nie będzie potrzebny.
Ani tu morze z brzegów nie wystąpi,
A lądów wichry z miejsc dawnych nie dźwigną.
Tylko, gdy niebo rozumu poskąpi,
Człowiek szaleje, zmroczony maligną,
Kładąc na siebie ciężary zbyteczne,
Ponad doczesne ceni rzeczy wieczne."

Nagle na stropie błękitnym i zimnym
Stanął punkt czarny, jak źdźbło w oku własnem,
Rosnąc powoli na tle nieba jasnem.
Wiatr się poderwał i przeleciał hymnem
Po kniei leśnej i powiał ogrodem.
Niespodziewanie świat objęło chłodem.

Nagły niepokój zapanował w zbożu,
Kłosy się kładły pod niewidną kosą;
Gromadka dzieci umilkła i boso
Biegła po łące płynnej, jak po morzu.

Wieśniak idący w zadumie za pługiem
Spojrzał na niskie niebiosów pułapy,
Po których zwały skręcone i długie
Ciężko dyszały, oparte o łapy,
Jak psy kudłate czerwonym jęzorem
Liżąc świetliste obłoków granice.
Pośrodku nieba drążonym otworem
Pruły mrok wiązki żółtawych promieni,
Wpięte w krąg świateł, mroczniejszych od cieni,
Gdy je rozcięły błyskawic nożyce.

Już koń poczciwy, koń powolny trudom,
Rży, staje dęba i zrywa wędzidła
I biegnie z grzywą rozwianą i rudą,
I patrzy okiem błyszczącem do góry,
Gdzie lasy idą i lwy między chmury
I krwią straszliwe płyną malowidła.

Biada nam, biada! o, lęku, o, trwogo!
Biada samotnie zdążającym drogą,
Bo gdzież się kryją przed idącą burzą,
Kiedy im klęskę przeczucia wywróżą?
Biada chodzącym tłumnie i gromadnie,
Bowiem, gdy wszystkim uciekać wypadnie,
Gdzież się przed losów ukryją żałobą,
Jeden przed drugim i każdy przed sobą?

Ogromna kropla brzękła i upadła,
Pierwsza z chmurnego wylana ołowiu,
Weszły pierścienie na jezior zwierciadła,
Fale plusnęły na miękkiem węzgłowiu,
Kędyś z bieguna lodowce i śniegi
Zeszły w dolinę kipiącym zamętem,
Morze, jak ściana wstało ponad brzegi,
Czarnym wylewem ocean rozprysnął,
Radosnym grzmotem i głuchym lamentem
W ciemne przestrzenie runął i — zawisnął.

Próżno śród nocy na burzliwej wodzie,
Która nad dachy rozlewem urosła,
Nędzarze wątłe wprowadzają łodzie
I w czarny wrzątek zanurzają wiosła
Dziobem się nurza i chyli na burcie, —
Łódka się kręci na kipiącym nurcie,

Już tylko ręce grożą i trzepocą,
Chwytają pustkę i na falach nikną,
Zanim, skulone rozpaczą i nocą,
Pięści zacisną i bezgłośnie krzykną.

Wodo przedwieczna, wodo ustępliwa,
Na tobie pienne statek ślady pisze,
Fala na fali dwa słońca kołysze
I dwa księżyce spłukuje i zmywa,
I słowa miesza w milczeniu słowami
Duch, co unosi się ponad wodami...

Już dni czterdzieści ponad wodną niwą
Orący słoneczny ciemne wiry pługy.
Każdy ląd nazwę kresem mej podróży,
I każdą wyspę najbardziej szczęśliwą,
I każde drzewo, gdy z wód się wynurzy —
Drzewem poznania, i ową godzinę,
Kiedy granice i brzegi przepłynę,
Zatrzymam, wyrwę z wieczności ogniwo.

Oknem otwartem na wód bezgranice
Dziś wypuściłem pierwszą gołębicę,
Kłębek piór białych trzepoce nad głową,
Wzbija się w górę, zakreśla dwa łuki
I krąży, pomny skrzydlatej nauki,
Ginie nad głębią nieba granatową,
I wkońcu spływa znów na moje ręce,
Powraca cichy i jest taki drżący
I tak stęskniony, że już w niemej męce
Dziobek rozchyla ten ptak konający.

A gdy zwątpiłem już i syt goryczy,
Stało się: wody poczęły opadać,
Niebo osnuła jasność, jak przed świtem,
I żywe błyski poczęły się skradać,
I już zrąb lądu z morza się wynurza,
Ziemia wykwita i rośnie, jak róża,
I oczyszczona jest i pachnie żytem!

Wtenczas ujrzałem dom, rolę i ziarno,
Głazy i drzewa mokrą zieloność,
Niebo, objęte wstęgą siedmiobarwną
Tęczą, wiążącą mnie i nieskończoność.
I opuściłem arkę i spoglądam,
Jak znów się pieni, jak urasta życie.

Patrzę w doliny: ach, jestem na szczycie.
— Gdzie jestem, pytasz mnie, — i czego żądam?

ANTENA ŚWIATA

Masaryk w anegdocie

Tomasz Masaryk przez szereg lat poświęcał się wyłącznie karierze naukowej i wystąpił na arenie politycznej w związku z gwałtowną polemiką w słynnej sprawie manuskryptów, która pod koniec XIX w. podzieliła Czechów na dwa obozy.

Na początku XIX wieku dwuch studentów Czechów sfabrykowało szereg dokumentów, opiewających bohaterskie wyczyny armii czeskiej na początku średniowiecza i świadczące o wysokim poziomie cywilizacyjnym mieszkańców Czech w ówczesnej epoce. Przez okres 50 lat naród czeski dumny był z tych zaszczytnych rewelacji historycznych i nikomu nawet nie przyszło na myśl powątpiewać w autentyczność tych dokumentów.

Kiedy jeden z kolegów uniwersyteckich Masaryka podał w wątpliwość prawdziwość tych „dokumentów" powstała wrzawa nie do opisania, protestom nie było końca.

Masaryk postanowił osobiście zbadać te „źródła" i doszedł do wniosku, że są sfałszowane. Natychmiast popadł w niełaskę: na wykładach jego studenci narodowo usposobieni urządzali awantury, przerywali wykłady, ostentacyjnie opuszczali salę.

Jeden z dzienników praskich w ten sposób określił stanowisko Masaryka:

„Do diabła, z tym nędznym zdrajcą. Niech nie śmie używać więcej naszej świętej mowy! Idź do wroga, któremu służysz, zapomnij żeś ty z matki — czeszki. My cię „wyrzucamy z naszego narodu".

W trzydzieści lat później ten sam dziennik stał się organem rządu, na którego czele stał powszechnie kochany i szanowany „nędzny zdrajca".

———

Jego prostota i skromność były wprost legendarne. W czasie pobytu Masaryka w Ameryce urządzono na jego cześć bankiet w czasie którego przyniesiono adresowaną do niego depeszę. Otworzył więc ją, przeczytał i schował do kieszeni, po czym spokojnie kontynuował swą rozmowę z sąsiadami.

Nastąpił koniec bankietu. Masaryk podniósł się, podziękował za miłe i serdeczne przyjęcie i oznajmił, że właśnie jego przyjaciele czescy telegrafowali mu, że wybrano go prezydentem republiki czeskiej.

———

Jego dobroć była wyjątkowa. W twarzy było tyle słodyczy, że sama jego obecność wzbudzała ufność.

„Kiedy byłam małą dziewczynką, opowiadała jego córka, w czasie burzy chowałam się zawsze w pokoju mego ojca, gdyż wierzyłam, że tam błyskawice nie dotrą."

Gorgułow, zabójca prezydenta Doumera, usiłował go zabić. Skoro terorysta zbliżył się do powozu Masaryka i wyciągnął doń książkę, aby odwlec jego uwagę, poczuł się, według własnych słów, tak przejęty łagodnością zielonych oczu Prezydenta, że nie śmiał wyjąć broni.

Tego dnia Masaryk uratował sobie życie jednym spojrzeniem.

———

Szczegół ciekawy: prasa niemiecka zdaje sobie sprawę z wielkiego znaczenia prez. Masaryka wobec czego usiłuje mu przypisać właściwości czysto niemieckie. A więc krew niemiecka krążyła w żyłach Masaryka, jego wykształcenie i kultura były najzupełniej niemieckie — czego dowodem ma być fakt, że swe dzieła naukowe pisał po niemiecku.

Prasa nazistowska zapomniała a może nie wie — że w okresie profesury Masaryka, kiedy myśl czeska była pod wpływami niemieckimi szczególnie Kanta i Herbarta Profesor uznał ten wpływ za szkodliwy dla niezawisłego rozwoju myśli czeskiej i użył całego swego podówczas młodego autorytetu, aby te wpływy zmniejszyć na korzyść wielkich myślicieli francuskich.

Dwaj dyktatorzy

Spotkanie Hitler - Mussolini, któremu prasa światowa poświęciła wiele miejsca, interesowało również Qui d'orsay. Zastanawiano się nad tym jaki będzie rezultat spotkania dwuch dyktatorów? Jeśli sobie przypomnimy ich poprzednie rendez-vous to nie wzmocniło ono więzów między dwiema potęgami, gdyż wywołało ono wysłanie oddziałów włoskich do Brenneru; można więc przypuszczać, że przyjaźń tak długo poszukiwana i tym razem zostanie zrealizowana.

- Wiecie, mówił pewien stary dyplomata z gabinetu Ivona Delbosa, ci dwaj ludzie są zbyt różni charakterem, aby ze sobą nie sympatyzować, lecz równocześnie zbyt podobni w swych ambicjach, aby sobie nie zazdrościć. W sumie przypomina to bardzo małżeństwo z wyrachowania: miłość oficjalna i... oddzielne sypialnie.

5 tys. cel czeka na lokatorów

Prasa angielska donosi, że liczba więźniów w r. b. jest mniejsza niż w ubiegłym i że lata ostatnie wykazują stały spadek liczby więźniów. Obecnie pięć tysięcy cel więziennych jest pustych i pozbawionych lokatorów.

Główne przyczyny, sprzyjające temu niewątpliwemu postępowi, to: coraz częstsze stosowanie wyroków warunkowych (z zawieszeniem) i łagodne traktowanie kar grzywny, którą się ściąga w długich terminach.

Oryginalny jubileusz

W jednym z belgijskich szpitali obchodzono przed paru dniami jubileusz pięćdziesięcioletniego pobytu w szpitalu. Pewien chory — zapisany we wrześniu 1887 roku dotąd z niego nie wyszedł

Jubilat wyprawił całemu personelowi szpitalnemu przyjęcie. Zżył się on ze swym losem i twierdzi, że nawet w tych warunkach, 50 lat leżenia w łóżku, nie zmarnował on swego życia.

Henri Chateun zajmował się matematyką i psychologią. Dla obserwacji psychologicznych właśnie wolał on pozostawać w szpitalu, aniżeli leżeć samotnie w domu.

Choroba jego jest z kategorii nieuleczalnych. Częściowo sparalizowany, wymagający stałej pielęgnacji zdecydował się nie opuszczać sali szpitalnej, gdzie miał kontakt z coraz nowymi ludźmi, gdzie mógł obserwować najróżniejsze typy.

Stałemu pacjentowi wyprawiono właśnie pięćdziesięciolecie przebywania w szpitalu, ofiarowując mu specjalną księgę pamiątkową, złożoną z artykułów jego współtowarzyszy — chorych szpitalnych.

Czy zmiana płci?

Europejski świat lekarski śledzi z wielkim zainteresowaniem i uwagą doświadczenia francuskich uczonych. Doktorzy Perard, Caridroit i Sand z paryskiego Collège de France pracują obecnie nad niezmiernie doniosłymi doświadczeniami. A mianowicie od dłuższego czasu przeprowadzają oni zmianę płci wśród kur. Zabieg jest krótkotrwały, bezbolesny i niezmiernie delikatny. Kładzie się na ustalony stół kurę i koguta rasy Leghoru (najwyższa gatunkowo rasa) i natychmiast przystępuje się do zabiegu, który dla samiczek jest jeszcze bardziej delikatny, aniżeli dla samców. Pierwszy na stół idzie kogut, po „otwarciu" którego przystępuje się do kury. „Otwarcie" przeprowadza się szybko i zręcznie, usuwa się ostrożnie jajniki, starając się uniknąć krwotoku, bardzo możliwego w tych wypadkach, na wypadek którego operacja jest chybiona. Jajniki usunięte, zostają natychmiast przeszczepione kogutowi; z kolei kura otrzymuje żołędzie samcze. Przemiany towarzyszące operacji są mniej lub bardziej gwałtowne.

Czasami trwają miesiącami, kiedy indziej znów po upływie 15 dni kogut już nie pieje, a po miesiącu zmiany są bardzo poważne. Po mału koguci grzebień ulega charakterystycznym przemianom. Pióra zaokrąglają się i rozszerzają. Oczywiście że u kury przemiany te będą wręcz odwrotne: w kilka tygodni po operacji kura zaczyna piać, jej upierzenie traci swą okrągłość, grzebień zaś rośnie coraz bardziej. Po upływie krótkiego czasu pojawiają się ostrogi.

Jakkolwiek doświadczenia te są z kategorii nauk, będących jeszcze w stanie niemowlęctwa, tym nie mniej, na podstawie osiągniętych wyników, można już dzisiaj twierdzić z całą stanowczością, że w niedalekiej przyszłości można będzie „tworzyć" dowolnie płeć i poważnie zmieniać rodzaje i charaktery.

Premiery warszawskie

TEATR KAMERALNY.

Pola Gojawiczyńska „Współczesne", sztuka w 3. aktach, 6 obrazach.

Już tytuł sztuki zdradza jego tematykę. „Współczesne" to wierny obrazek z życia, bezlitośnie nagi, przez autorkę dobrze podpatrzony. Znamy autorkę z jej świetnych powieści, nacechowanych jakże bezbrzeżnie smutną, beznadziejną prawdą życia, życia zapracowanych dziewcząt, łaknących rozrywki, radości, miłości, co jest udziałem córek bogaczy. One zaś muszą się zadowolić ochłapem, miłosnego stosunku, przy którym ze strony mężczyzny nie serce a zmysły decydują o krótszym czy dłuższym jego trwaniu. Bytowanie tych dziewcząt, które nam autorka tak wymownie opisała w swoich powieściach, wzięła ona za temat do swojej pierwszej sztuki, która jak mnie informują, odleżała po różnych dyrekcjach teatrów około 2. lat, aż nareszcie została wystawiona u Adwentowicza. Poznał on się na jej znacznych scenicznych walorach.

Był to naprawdę udany debiut dramatopisarski utalentowanej powieściopisarki, świadczący o jej wybitnym nerwie scenicznym. Gojawiczyńska wie jak dawkować wrażenia, jak potęgować napięcie a czyni to środkami prostymi, bez uciekania się do drastycznych efektów. Niektóre jednak sceny (ale tych jest niewiele) mówią, że mamy przed sobą dramatopisarkę jeszcze nierutynowaną. Wykazują one, bowiem, pewne niedociągnięcia sytuacyjnej i psychologicznej natury. Realizm na scenie ma być wprawdzie esencjonalnym skrótem rzeczywistości, ale nie skrótem rażących przeskoków psychologicznych. Każda zmiana w psychice postaci musi być uwarunkowana, jeśli już nie zmianą sytuacji, to przynajmniej odpowiednim wewnętrznym przeżyciem, progresywnie uplastycznionym, dającym widzowi wytłomaczenie zaszłej metamorfozy uczuć. Weźmy np. rozpacz Krysi spowodowaną aresztowaniem ojca, ten krzyk dziewczęcia wyrzuconego występnym życiem ojca poza nawias koleżeńskich stosunków, to załamanie się wewnętrzne, ten jej żal do matki, która kierując się pobudkami miłości pobłażała to życie męża, niszcząc jej młodość: czyż może się on tak nagle przerodzić w współczucie i wpłynąć na zasadniczą zmianę jej dotychczasowego trybu życia. Takie nagłe przejście z jednego krańcowego stanu uczuć w drugi, musi ujemnie wpłynąć na wrażliwość inteligentniejszego widza. Nie udał się także autorce obraz pierwszy, kompozycyjnie, ze względu na późniejszy tok akcji i nawiązania doń, dobrze pomyślany, pod względem ekspresji jednak mocno anemiczny a nawet zbanalizowany. Są to jednak wady, które absolutnie nie mogą zaciążyć na dobrej konstrukcji całości. Sztuka Gojawiczyńskiej jest sytuacyjnie zwarta a poszczególne jej sceny, mimo pewnej fragmentaryczności akcji, są dobrze, z wielkim wyczuciem teatru powiązane. Autorka posiada bystry zmysł obserwacyjny i analityczny; potrafi wniknąć w głębsze, podświadome stany duchowe swoich bohaterek. Jej podejście do tematu cechuje pedantyczna sumienność, ale równocześnie i zdolność artystycznej kondensacji.

Gra aktorów była na ogół na poziomie. Irena Grywińska w roli szukającej prawdziwej miłości, Janiny, była nierówna. Obok bardzo mocnych momentów, miała ona momenty słabe. Słabą była w „Alejach", natomiast dużo mocnych akcentów wydobyła ze swej roli „w pokoju Rogowskiego". Rogowskiego zagrał dobrze Strachocki, który z właściwym umiarem odtworzył typ „uwspółczesnionego" mężczyzny, dla którego erotykajest tylko odprężeniem od pracy zawodowej, mężczyzny niezdolnego do głębszych miłosnych przeżyć. Rolę Marii —przyjaciółki Janiny, „uwspółczesnionego" typ kobiety, biorącej życie tak, jak ono się przedstawia, zagrała inteligentnie Halina Drohocka. Pani Kowalska w interpretacji Janiny Morskiej Zniczowej wypadła blado. Janina Polakówna jako Krysia, wydobyła z swej roli dużo ekspresji. Świetnie zagrał rolę Petrykowskiego — mężczyznę z sercem, Jan Kochanowicz. Reszta zespołu dopisała w zupełności.

Reżyseria Karola Adwentowicza, dekoracje St. Cegielskiego.

———

TEATR MALICKIEJ.

Hubert Henry Davies „Mięczak" komiędia w 3. aktach przekład F. Sobieniewskiego.

Czyż to nie karygodne pokazywać takie obrzydliwości życia na scenie? Mamy ich tyle w codziennym życiu a do teatru chodzimy przecież po to, by się przynajmniej na kilka godzin z nich otrząsnąć; przenieść się choćby na krótko w życie inne, piękniejsze, esencjonalniejsze, wartościowsze. Z takim zarzutem spotkałem się po opuszczeniu Teatru Malickiej. Jest bezsprzecznie wiele racji w tym zarzucie, ale mimo to go nie podzielam. Bo z tego samego powodu możnaby potępić takiego Skąpca Moliera z powodu Harpagona. „Mięczak" Daviesa należy do typu komedii, opierających się na jednej centralnej postaci, która skreślona została przez autora z rzadką plastyką, godną naprawdę wielkich komediopisarzy. Ta „mięczakowatość" pani Bakster, to nie żaden anachronizm. I dzisiaj, w epoce pełnej emancypacji, w epoce równouprawnienia kobiet, spotykamy tego typu kobiety, które pasożytując na cudzej pracy, są święcie przekonane, że spełniają swoje obowiązki względem otoczenia z pełną ofiarnością. Nie mają one sobie absolutnie nic do zarzucenia. Ta ich pasożytniczość nie wypływa z lenistwa, z inercji, lecz z jakiejś osobliwej mentalności, która im każe użyć całej swej energii życiowej dla zamaskowania swej nicości, swej pustoty, swego braku postawy wobec twardego życia, wymagającego ofiar, do których nie są zdolne. Używają one wszelakiego rodzaju sztuczek, by upozorować i nadać swemu istnieniu jakiś sens, polegający na tym, że czynią z siebie ofiarę otoczenia, które z swą „mięczakowatą" słodyczą maltretują. Taki „mięczak" wedle koncepcji autora zaraża swoją mięczakowatością całe otoczenie. I trzeba naprawdę wielkiej siły woli, ażeby nie ulec jego wpływowi.

W komedii występują tylko cztery osoby. Obok centralnej postaci pani Bakster, mamy jeszcze jej męża pana Bakstera, jej brata Tomasza, który tylko jakiejś wyjątkowej energii zawdzięcza uwolnienie się z mięczakowatych cech rodziny i pannę Roberts wychowawczynię dzieci pani Bakster, którą „Mięczak" w nieludzki na swój sposób, słodki wykorzystuje.

Maria Malicka w roli p. Bakster stworzyła kreację godną wielkich artystek. To była kreacja, która na długo musi utkwić w pamięci widza. Henryk Modrzewski w roli pana Bakstera grał dobrze. To samo można powiedzieć o grze Sawana w roli Tomasza. Subtelnie z wielkim umiarem odtworzyła rolę panny Roberts, Zofia Gryf Olszewska. Wyreżyserowała sztukę bardzo dobrze G. Błońska. Dekoracje sporządził S. Kurman.

J. LESER

WANDA KRAGEN

Człowiek z nieprawdziwego zdarzenia

(dokończenie ze str. 5-ej)

nieraz drogowskazem, ratowały go zabłąkanego na manowcach, w głuszy i grzęzawiskach. I gwiazdy ocaliły w nim duszę. Ich tchnienie unosi się nad książką, spowija twardą i surową rzeczywistość przemytniczego życia płaszczem romantycznych uniesień.

W powieści Piaseckiego nie ma blagi ani fałszu, tętni ona nawskroś autentyzmem. Nie idealizuje niczego, nie bierze w obronę straceńców pogranicza, ludzi na wszystko zdecydowanych. A jednak budzi w nas sympatię i zrozumienie dla tych natur mocnych jak żywioł, których olbrzymia energia i siła witalna na innym odcinku, w innych warunkach, mogłyby wydać wspaniałe rezultaty. Żal, podziw, dojmujący smutek, że to wszystko i dzie na marne, ogarniają nas przy czytaniu.

Piasecki pisał swoje pamiętniki w więzieniu, w najgorszych warunkach. Pisał, bo pisać musiał, bo po brzegi był pełen doznań, które nie każdemu dane są w udziale. Tyle, tyle rzeczy z nieprawdziwego zdarzenia było w jego młodym życiu. Uleżały się w ciągu długich, gorzkich lat więziennych, surowa ruda wspomnień przetopiła się w ogniu męki i niepokoju, bolesnych pytań i dociekań, pozostały z niej pierwiastki istotne i rzetelne i te doszły do głosu, by dać najprawdziwszy, wierny wizerunek życia „człowieka niepoczciwego", z którym my, ludzie z za ścian nigdy byśmy się inaczej nie zetknęli.

Dalsze dzieje książki są znane. Ten *homo novus*, nie mający nigdy z literaturą nic wspólnego, nie władający zupełnie poprawnie językiem polskim — co nie przeszkadza, że daje świetne, do głębi wyczute opisy przyrody i doskonałe, plastyczne sceny — wszedł zwycięską stopą do literatury, jego książka jest rozchwytywana, ma być przełożona na kilka języków. Nie ulega wątpliwości, że Piasecki będzie pisać dalej. Nie powiedział jeszcze całej prawdy o swym życiu. Niechaj wie, że czytelnik w jego dalszych książkach szukać będzie przede wszystkim tej prawdy, zapoczątkowanej tak świetnie pierwszą pracą.

KINO

RIALTO

„KONIEC PANI CHENEY"

Znaka sztuka teatralna w przeróbce filmowej i reżyserii Bolesławskiego (a właściwie tylko zapoczątkowana przez niego) wypadła całkiem udanie. Nie odbiegając od zwykłego szablonu dobrej komedii salonowej, wykazała maximum wartości tego rodzaju widowiska. Interesująca akcja filmu, eleganckie wnętrza, piękne toalety, artystyczne, snobistyczno-lordowskie środowisko z domieszką gangsterskiej pikanterii, a przy tym sprawna, kulturalna reżyseria, doskonała technika zdjęć, dowcipne dialogi — dają film wybitnie rozrywkowy, oglądany z dużą przyjemnością — mimo poczucia, że takich filmów widzieliśmy już dziesiątki i wiele ich jeszcze zobaczymy.

Jean Crawford, „królowa" tego rodzaju filmów, była jak zwykle wytworna, i pełna szlachetnego umiaru.

Robert Montgomery, blady i bez wyrazu, nie potrafił sobie zjednać publiczności, mimo, iż wedle scenariusza był najsympatyczniejszą postacią filmu. Natomiast William Powell w swej małej rólce jednego z członków złodziejskiej paczki swą sympatyczną swadą, opanowaną mimiką i prawdziwym poczuciem humoru wzbudził sympatię wszystkich.

Nad program mało udana kreskówka o murzyniątku wśród piratów.

CAPITOL

„ZNACHOR"

Powieść Dołęgi-Mostowicza „Znachor" o arcy-kinowych efektach zdawałoby się, że idealnie nada się na przeróbkę filmową. Możnaby z niej zrobić interesujący film o mocnej treści dramatycznej i ciekawym ujęciu psychologicznym. Moment załamania się bohatera w końcowej scenie mógł być wyzyskany jako jeden z rzadko mocnych efektów. Niestety, jednak ani scenarzysta, ani reżyser nie postarali się o należyte zaakcentowanie tematu — z całej książki zebrana jest po wierzchu sama jej treść — fakt po fakcie — bez żadnego umotywowania, ani oświetlenia psychologicznego — ot, tak, jakby ją opowiadał ktoś bardzo mało inteligentny. Film, spłycony i zbanalizowany do ostateczności, nie grzeszy przy tym nawet zbyt staranną reżyserią — monotonne tempo, mało zwarta konstrukcja bez logicznego powiązania każą przypuszczać, że widz, nie znający książki, mało orientowałby się w samej akcji.

Gra aktorów bardzo niejednolita — mimo szeregu wybitnych aktorów, biorących udział w tym filmie, — nie mamy w nim takiego koncertu gry, jakiego możnaby się spodziewać — aktorzy sami widać niedobrze się czuli, zmuszeni do jak najpłytszego ujęcia roli. Stempowski, jak zwykle, stworzył genialną maskę, ale czuło się, że i ten wspaniały aktor nie może się „wygrać".

Film posiadał parę udanych zdjęć, aczkolwiek zdjęcia na „plenerze" z zbyt daleka „pachniały" tym, że były robione w atelier.

Film ten wykazał niestety, że bolączką naszej produkcji nie jest tylko brak scenariuszy — Waszyński miał tym razem pierwszorzędny materiał w ręku — nie umiał zrobić z niego nic ponad zwykły banał. Film, obliczony na prowincję — tam też będzie miał powodzenie — a więc ciągłe liczenie na najniższy gust, ciągłe stawianie sobie najmniejszych wymagań. To naprawdę najłatwiejsze.

T. S.

TEATR „NOWOŚCI", Bielańska 5
Tel. 340-55 dyr. 285-86 kasa
Żydowska Scena Narodowa
Kierownik lit.-art. Andrzej Marek
Otwarcie sezonu 1937—38
Codziennie punkt. 8.45
WIELKI SPEKTAKL NARODOWY
SĄD
(Z obecnego życia palest. Sulamit Batdori, przełożył z żyd. *A. Cejtlin*)
Reż. LEOPOLD LINDTBERG
Dek. A. SAWO
Kier. muz. H. RUBIN

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.
Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.
Red.-odp.: A. KLARMAN. Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o.
„Drukarnia Lekarska", Warszawa, Leszno 56, tel. 11.98-75.